

Tkane malarstwo
Tamary Jaworskiej –
czas na poznanie
go w ojczyźnie
artystki



Tamara Jaworska, fot. arch. Tamary i Tadeusza Jaworskich.

Katarzyna Szrodt

Nie mogło być lepszego miejsca na zapoznanie się z archiwum Tamary Jaworskiej niż wiejski dom Kiki Miszteli, ukryty w wysokich drzewach rosnących na rozległej farmie. Tamara Jaworska kochała naturę i inspiracji szukała w zmiennym pięknie przyrody. Ta wybitna gobelinistka, posługując się średniowieczną metodą tkania, w sztuce gobelinu osiągnęła najwyższe laury, żeby wymienić te najważniejsze: Order Kanady, Złoty Jubileuszowy Medal Jej Wysokości królowej Elżbiety II, Gloria Artis.

Trzy lata po śmierci Tamary, w 2015 roku, i ponad rok po śmierci jej męża, Tadeusza Jaworskiego, z którym artystka stanowiła twórczy i dopełniający się tandem, znana w Toronto kuratorka wystaw i animatorka życia artystycznego, Kika Misztela, założyła Fundację Tamary i Tadeusza Jaworskich. Celem Fundacji jest działanie na rzecz utrwalenia pamięci o dokonaniach obojga artystów, doprowadzenie, by w Polsce informacje o nich wpisały się w rozdział historii sztuki i kultury polskiej po 1968 roku, zorganizowanie wystawy retrospektywnej gobelinów i obrazów Tamary Jaworskiej, inwentaryzacja wszystkich prac znajdujących się kolekcjach muzealnych, w posiadaniu instytucji i osób prywatnych oraz wydanie monografii obojga artystów.

Paradoks emigracji polega na zniknięciu artysty z horyzontu sztuki kraju rodzinnego. Tadeusz Jaworski, ceniony w latach 50. i 60. dokumentalista i reżyser teatrów telewizji, pozbawiony został pracy po marcu 1968 roku. Tamara Hans-Jaworska miała już ustaloną pozycję w powojennej sztuce tkaniny artystycznej: była dyrektorem artystycznym „Ładu”, współpracowała z Cepelią, wykładała na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Emigracja Jaworskich, wymuszona przez wydarzenia marca 68 roku, przerwała ich rozwijające się kariery. W 1969 roku, po kilku miesiącach spędzonych w Rzymie, dotarli do Kanady i zamieszkali w Toronto.

Otwierając kolejne kartony, znakomicie prowadzonego przez

Tadeusza Jaworskiego archiwum Tamary, znajduję: katalogi wystaw, projekty i zdjęcia gobelinów, recenzje prasowe, listy z galerii z różnych krajów omawiające planowane wystawy, korespondencję z *Royal Canadian Academy of Arts*, której członkiem była Tamara Jaworska od 1975 roku, korespondencję z *Centre National de la Tapisserie d'Aubusson* w Paryżu, gdzie była jedyną artystką sztuki gobelinu z Ameryki Północnej.

Rozwija się przede mną twórcze życie. Tamara Jaworska, obdarzona przez los wybitnym talentem i niezwykłą pracowitością, połączyła w jedno malarstwo i tkactwo. Artystka wyczarowywała, bo takie słowo przychodzi na myśl, gdy ogląda się jej gobeliny, tkane obrazy o niebywalej sile kompozycji, koloru, narracji. Imponują one również wielkością: seria czterech tkanin dla *First Canadian Place* w Toronto „Quarter Modern”, ma wielkość pięć na trzy metry każdy, „Unity of Canada”, gobelin przedstawiający wszystkie prowincje i terytoria Kanady, znajdujący się obecnie w *Gulf Canada Square* w Calgary, ma siedem na jedenaście metrów.



Tamara Jaworska, Vers Libre VI.

Ostatnia seria „Vers libres”, licząca dwanaście gobelinów wielkości 130 cm na 170 cm, jest szczytem osiągnięć artystki, jest najbardziej malarska, poetycka, magiczna kolorystycznie i narracyjnie. „Vers libres” zaprezentowane zostały w 1991 roku: w *Galerie Inard, Centre National de la Tapisserie d’Aubusson* oraz w Tuluzie. Artystka uznała serię za swój „łabędzi śpiew” i na niej zakończyła tkanie. Po długim, pracowitym życiu spędzonym na projektowaniu, przygotowywaniu nici i tkaniu na krosnach, artystka skupiła się na malowaniu, podróżowała i uczestniczyła w życiu artystycznym, gdyż gobeliny jej ciągle brały udział w wystawach. W 2005 roku, Iriko Kołodziej, artystka-malarka przyjaźniąca się z Tamarą Jaworską, zorganizowała znakomitą

wystawę jej gobelinów w *Michael Pourvakil Weavers Gallery*. Na zaproszeniu cytowane są słowa Leona Whitesona, historyka i krytyka sztuki, który nazywa Tamarę „kanadyjskim skarbem narodowym”. Mecenas sztuki i artystów, profesor Richard Demarco, dyrektor *Demarco Galleries* w Edynburgu i szef *Demarco European Art Foundation* powiedział, że Jaworska była jedną z najważniejszych artystek, jakie pojawiły się w jego profesjonalnym życiu, gdyż otworzyła mu oczy na tkaninę jako na sztukę. Dla Roberta Inarda, dyrektora *Centre National de la Tapisserie d'Aubusson* w Paryżu: „Tamara i jej sztuka promieniuje niezwykłym duchem”.

Nadszedł czas, by po latach nieobecności Tamary Jaworskiej w kraju, wiadomości o niej, jak i jej dokonaniach, stały się częścią polskiej współczesnej historii tkaniny oraz by polska publiczność mogła obejrzyć jej słynne tkane obrazy.

Muzeum Narodowe w Gdańsku, które otrzymało w darze siedemnaście gobelinów i archiwum od Funduszu Powierniczego Państwa Jaworskich, planuje wystawę retrospektywną. Według wstępnych rozmów ma powstać monografia artystki we współpracy z Fundacją Tamary i Tadeusza Jaworskich, która udostępni archiwa znajdujące się w Kanadzie. Monografia Tadeusza Jaworskiego jest również w planach.

Przed Fundacją i jej szefową, Kiką Misztelą, otwiera się czas

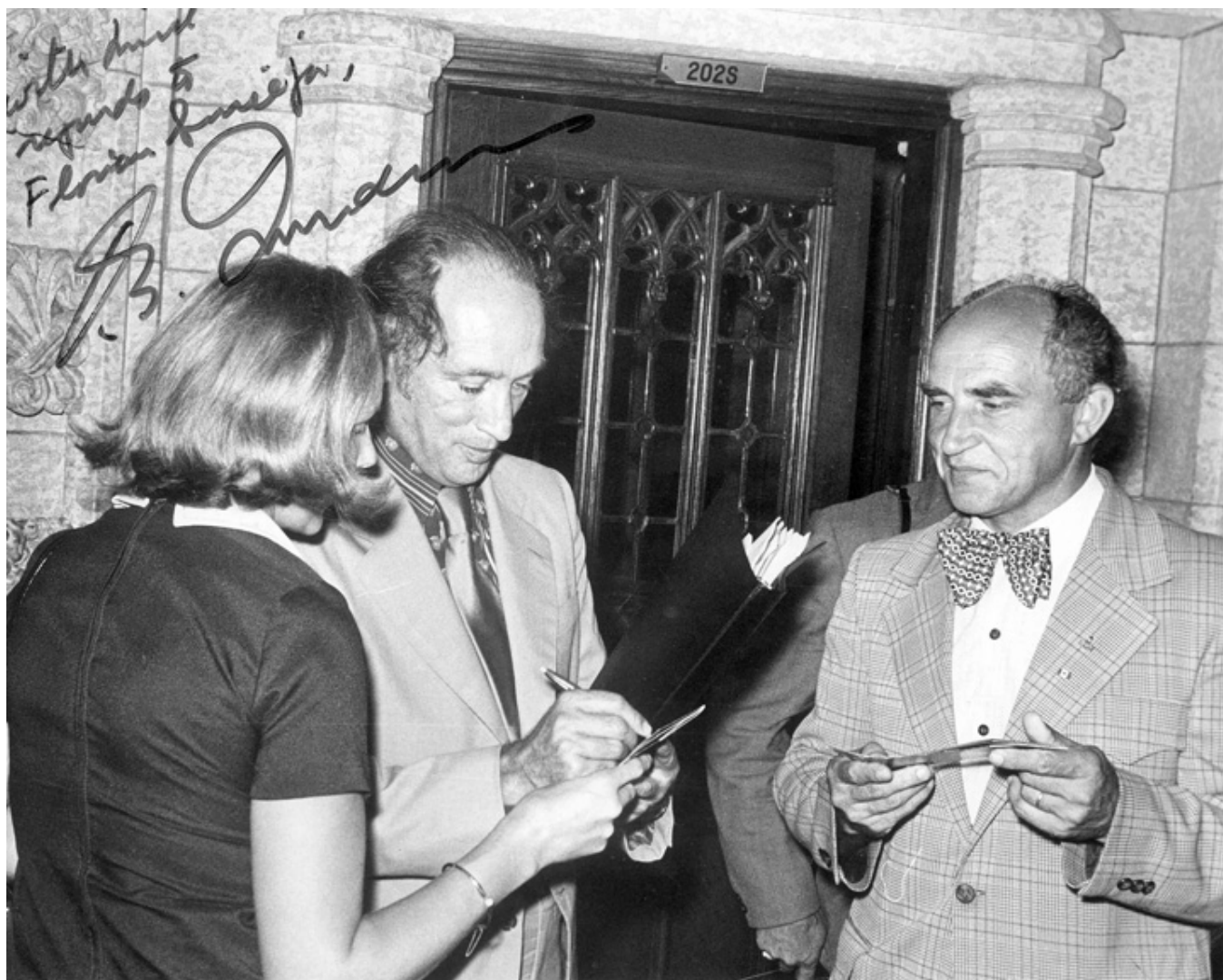
promocji spuścizny obojga artystów, czas ocalania zbiorów i skupienia się na ich opracowaniu. A nad wszystkim czuwa dobry duch Tamary Jaworskiej.

O Tamarze Jaworskiej w magazynie „Culture Avenue”:

<http://www.cultureave.com/w-magicznym-swiecie-gobelinow/>

Wspomnienia Tadeusza Jaworskiego ukazują się w pierwszy poniedziałek miesiąca.

Dwie kanadyjskie migawki



Florian Śmieja (z prawej) z premierem Pierrem Trudeau, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Kiedy mnie pytają o Kanadę i znamienne doświadczenia zachodniej demokracji, cytuję przykład premiera Ontario Johna Robartsa, który przysłał mi powitalny list w kilka dni po moim przybyciu do jego okręgu wyborczego. Drugim probierzem było krótkie spotkanie z premierem Kanady Pierrem Trudeau na korytarzu parlamentu w Ottawie. Zaraz po zaciętym pojedynku na sali, potrafił on wyjść do czekających gości, pogwarzyć z nimi

i podpisać autograf.

*

Mój kanadyjski znajomy Richard Newman pisał książkę o Almie Rosé, wybitnej skrzypaczce austriackiej, która zmarła w Auschwitz, będąc tam dyrygentem żeńskiej orkiestry obozowej. Wspomniałem mu o moim przyjacielu, Wojciechu Gniatczyńskim (1924-1985), który był klarncistą w męskiej orkiestrze tego obozu. Przełożyłem jeden z jego wierszy na angielski i teraz jego słowa powędrowały do pięknej książki *Alma Rosé. Vienna to Auschwitz*. Ciekaw jestem, czy zachowano je również w przekładzie tej książki na hebrajski?

Korespondencja

Brzezińskiego i Nowaka

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Autorzy listów Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński to dwie polskie ikony ludzi polityki. Pokazana korespondencja jest czysto służbowa, uważna, skupiona na sprawach Polski i wokół niej.

Wielka troska o Polskę ujmuje i zjednuje czytelnika. Nie ma w tych listach fragmentów osobistych, prywatnych, są od czasu do czasu przekazywane pozdrowienia współmałżonkom. Jest zaproszenie od Nowaka na wakacje zimowe w domku w Alpach austriackich, na które Brzeziński zareagował entuzjastycznie. Dłuższe są wypowiedzi Nowaka, ogólnie jednak swoista powściągliwość tej korespondencji jest zrozumiała i jakby oczekiwana.

Archiwa Jana Nowaka-Jeziorańskiego za jego życia znalazły się w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich (przewoziła je Dobrosława Platt), zaś Zbigniew Brzeziński w 2003 roku, i

kolejno w latach 2005-2009 swoje archiwa zdeponował w Bibliotece Kongresowej w Waszyngtonie.

Zarówno z Janem Nowakiem (1914-2005, urodzonym i zmarłym w Warszawie), jak i ze Zbigniewem Brzezińskim (1928-2017, urodzonym w Warszawie, zmarłym w Falls Church w USA) w 1991 roku przeprowadziłam wywiady do książki „Korzenie są polskie”. Wcześniej, w 1982 roku, do książki „Dreams and Reality/ Kanada, Kanada” rozmawiałam w Montrealu z ojcem Zbigniewa. Tadeusz Brzeziński (herbu Trąby, syn Kazimierza – z zawodu sędziego) był jedną z najznakomitszych postaci Polonii kanadyjskiej. Urodzony w Złoczowie w 1896 roku, ukończył gimnazjum klasyczne w Przemyślu, studiował na uniwersytetach w Wiedniu, Hadze i we Lwowie. W latach 1918-1921 służył w wojsku polskim, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1921 rozpoczął służbę zagraniczną na placówkach konsularnych w Westfalii i Nadrenii, północnej Francji, Saksonii i Turyngii, na Ukrainie i w Kanadzie. Ostatnią placówką dyplomatyczną była Kanada, gdzie oficjalnie objął urząd konsula 1 listopada 1938 roku i był nim do lipca 1945, kiedy rząd Kanady cofnął uznanie dla rządu polskiego w Londynie. Od 1952 roku dziesięć lat pełnił funkcję prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Był pierwszym Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia w Montrealu, który w 1954 roku kandydował do Izby Gmin. Czynnie włączony był m.in. w powrót arrasów wawelskich i rękopisów Chopina do Polski, apelował do społeczności polonijnej o pomoc w odbudowie

Zamku Królewskiego w Warszawie.

Pisząc o ojcu, przypominę, że po matce, Leonii Brzezińskiej z domu Roman, Zbigniew był kuzynem Andrzeja Romana, znanego dziennikarza warszawskiego (syna brata Leonii, Tadeusza). Leonia Brzezińska (primo voto Żylińska) była córką Leona Romana (herbu Ślepowron).

Gdy Tadeusz Brzeziński objął urząd konsula w Montrealu, jego wtedy 10-letni syn Zbigniew był patriotycznie nastawionym chłopcem, jak sam powiedział, nadzwyczaj dumnym ze swego kraju. Kiedy w rok po przyjeździe z rodziną do Kanady wybuchła w Europie wojna, obserwował rozwój wydarzeń z ogromną uwagą, czytał dzienne depesze Polskiej Agencji Telegraficznej, które ojciec przynosił do domu ze swego biura. Powiedział kilku przyjaciołom, że chciałby pewnego dnia zostać prezydentem Polski. Zapamiętał zakończenie wojny. Uczniów wzięto ze szkół i maszerowali wzdłuż głównej ulicy w Montrealu. Wszyscy powiewali flagami, głównie amerykańskimi, brytyjskimi i sowieckimi. Pamięta, że w tej euforycznej radości czuł przede wszystkim smutek. Wiedział, że Polska była okupowana. Po studiach w Kanadzie zamierzał kontynuować studia w Wielkiej Brytanii, po których wróciłby do Kanady i starał się zrobić karierę jako dyplomata. Jednak w ostatniej chwili okazało się, że nie mając obywatelstwa kanadyjskiego, nie mógł skorzystać z uzyskanego stypendium. W rezultacie zdecydował się studiować

w USA na Harvardzie. Otworzyły się przed nim wspaniałe możliwości, jakie oferowała ta uczelnia i w ogóle Stany Zjednoczone.

Jego żona Muszka, pochodzenia czeskiego (z domu Beneš), jest rzeźbiarką. Synowie są włączeni w świat dyplomacji (Marek od 2011 roku był ambasadorem w Szwecji), córka Mika Brzezinski jest dziennikarką, współprowadzi program telewizyjny stacji MSNBC Morning Joe. Jak stwierdził Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński, imponujący swoją niezwykle błyskotliwą inteligencją i darem wypowiedzi, był świetnym przykładem polskiego wybitnego intelektualisty i męża stanu.



Korespondencja Nowaka i Brzezińskiego obejmuje ponad 44 lata, a jej autorzy ogólnie zgadzają się w wielu sprawach. Obydwaj wiedzą np., jak ważną sprawą dla Polski było uznanie granicy na Odrze i Nysie. W 1964 roku Nowak pisze:

Jedyną realną drogą do poprawienia losu Polski jest stopniowa ewolucja systemu i erozja doktryny. Jedno i drugie może odbywać się tylko w warunkach określonych przez Ciebie jako „*peaceful engagement*”.

Interesujący jest fragment listu Nowaka z 18 lipca 1968 roku, w którym pisze:

Wcisnąłem do ręki Griffitha (uważanego za eksperta od komunizmu - przyp. AZB) naprędce podyktowaną notatkę, której kopię załączam. Zdaje mi się, że wybiłem mu raz na zawsze z głowy „Polish traditional anti-semitism” oraz „Poland’s lack of democratic tradition”.

Na co Brzeziński odpowiada:

Uważam, że Twoja notatka dla Griffitha była majstersztykiem i wzorem świadomości historycznej!

Nowak czyta artykuły i książki Brzezińskiego, omawia je na antenie. Cieszy się wszystkimi wyróżnieniami i honorami pana Zbigniewa, pisząc:

Każdy Twój sukces jest dla mnie źródłem szczerzej i prawdziwej satysfakcji.

Jednocześnie martwi się atakami na Brzezińskiego i krytykowaniem go:

Jest rzeczą zdumiewającą, że żaden zachodni polityk nie jest w tej chwili atakowany w prasie komunistycznej w Polsce z taką zjadłością, jak Ty.

W listach Nowaka raz po raz pojawia się też troska o istnienie Radia Wolna Europa (przeciwnikiem jego istnienia był np. senator James William Fulbright), na którą Brzeziński reaguje zawsze skutecznie. Obaj korespondenci od czasu do czasu polecają sobie osoby mające problem np. z amerykańską wizą wjazdową (m.in. Zygmunta Grossa). Brzeziński wykazuje zainteresowanie historią Polski, konkretnymi osobami, jak generał „Nil”.

W jednym z wywiadów Jan Nowak-Jeziorański podkreślił:

Stany Zjednoczone pozwoliły mi przez wiele lat służyć mojemu krajowi na stanowisku kierownika Rozgłośni Polskiej

Radia Wolna Europa. Żadne inne mocarstwo nie zdobyło się na to, by zaofiarować ujarzmionym przez Stalina narodom radiostację nadającą od świtu do nocy, gdzie Polacy mieli pełną autonomię, możliwość mówienia o sprawach polskich z własnego, polskiego punktu widzenia. Polityka Stanów Zjednoczonych odegrała dużą rolę w procesie przemian w Polsce i w całym tym rejonie. Szczególnie mam tu na myśli tzw. politykę bata i marchewki, czyli z jednej strony sankcje, a z drugiej - perspektywy kredytów politycznie i ekonomicznie uwarunkowanych. Miało to dość znaczny wpływ na wydarzenia w Polsce po roku 1981. Bez tego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w sprawy polskie prawdopodobnie wydarzenia po roku 1981 miałyby zupełnie inny przebieg. Jako dyrektor RWE miałem wielokrotnie ostre konflikty z moimi amerykańskimi partnerami, ale uprzytomniły mi, że z Amerykanami można prowadzić spór zachowując niezależność własnego stanowiska. Bo nigdy, nawet w chwilach, które bliskie były konfrontacji, nie usiłowano pozbyć się mnie dlatego, że reprezentowałem inny punkt widzenia i starałem się bronić polskich interesów.

Zastanawiające są fragmenty dotyczące Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury”. Nowak pisał w 1968 roku:

Mam wiele szczerego podziwu dla Giedroycia i jego

miesięcznika. Wydawanie na emigracji przez blisko ćwierć wieku pisma, utrzymywanego na tak wysokim poziomie, ogłoszenie w tym czasie kilkuset książek, jest osiągnięciem zasługującym na najwyższy szacunek. Toteż usiłuję utrzymać z Giedroyciem możliwie najlepszą współpracę i stosunki, co nie zawsze jest łatwe. Ponieważ miesięcznik z trudem obecnie dociera do Polski - nadajemy specjalne audycje poświęcone obszernym streszczeniom i wyciągom z każdego numeru „Kultury”. Nie mówiąc już o rozgłosie, jaki staramy się nadać każdej nowej pozycji wydawniczej Instytutu Kultury.

Cztery lata później, w 1972 roku, napisze zupełnie inaczej:

Załączam fragmenty wyjątkowo perfidnego artykułu Mieroszewskiego w „Kulturze” z okazji naszego 20-lecia oraz naszą odpowiedź w Na antenie. Przez wiele lat starałem się nie odpowiadać na ataki i złośliwości Giedroycia. Artykuł Mieroszewskiego, złośliwy w treści, a szkodliwy w intencjach, doprowadził nas do ostateczności i desperacji. Przypuszczam, że jesteś dobrze poinformowany, w jaki sposób i przez kogo finansowana jest „Kultura”. Nieustanne kwestionowanie polskości i patriotyzmu naszego zespołu, dlatego że radio finansowane jest przez Amerykanów, jest w tym kontekście rzeczą absolutnie niemoralną.

Wyjaśnienie na temat konfliktu z Giedroyciem, o którym pisze Nowak, udzielił mi Marek Walicki, pracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i sekcji polskiej Głosu Ameryki. Od 1973 – po likwidacji nowojorskiego oddziału Rozgłośni Polskiej RWE – jedyny korespondent nowojorski:

Prawda jest taka, że Komitet Wolnej Europy (KWE) był finansowy w znacznej mierze przez CIA, i „Kultura” czerpała fundusze z tego samego źródła co Radio Free Europe (a więc i ówczesny Głos Wolnej Polski). Nowak był nieformalnym opiniodawcą wniosków Giedroycia (sic!) o pomoc z Komitetu Wolnej Europy, i kopie tej tajnej korespondencji Giedroycia z Amerykanami Nowak zachował. Wiadomo na przykład, że Giedroyc osobiście otrzymywał od KWE 300 dol. miesięcznie, podczas gdy Nowak jako dyrektor otrzymywał (w pierwszym roku działalności radia) 310 dol. miesięcznie. Dotacja (KWE – a więc w drodze dedukcji: CIA) na działalność wydawniczą „Kultury” w latach 50. wynosiła rocznie 75 tys. dol., czyli niewiele mniej niż budżet ponad stuosobowego zespołu polskiego Wolnej Europy! Osobiście sędzę, że choć fundusze pochodziły z tego samego źródła, Giedroyc miał większą niezależność jako redaktor miesięcznika niż Nowak, który kierował radiem i nie krył, bo ukryć by się i tak nie dało, że radiostacja stworzona została i jest finansowana „przez Amerykanów”.

Z rekomendacji Brzezińskiego w 2000 roku uhonorowano Jana Nowaka-Jeziorańskiego Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym odznaczeniem cywilnym Stanów Zjednoczonych Ameryki nadawanym przez prezydenta. Jak pisze Brzeziński, on sam został odznaczony tym medalem w roku 1981, i wcześniej żaden Amerykanin polskiego pochodzenia go nie otrzymał. Można powiedzieć, że Prezydencki Medal Wolności nadał specjalne znaczenie ich przyjaźni.

Warto dodać, że Dobrosława Platt, autorka interesującego wstępu do tej korespondencji, wcześniej opracowała „Listy Jan Nowak, Jerzy Giedroyc 1952-1998” (Wrocław 2001) i dwujęzyczną monografię Jana Nowaka-Jeziorańskiego ze wstępem ambasadora Jerzego Koźmińskiego „Polska droga do NATO. Listy, dokumentacje, publikacje” (Wrocław 2006).

Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński. Listy 1959-2003, PWN, Warszawa 2014 Wybór, wstęp, opracowanie Dobrosława Platt.

Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 24 listopada 2015

Chcę jeszcze trochę pograć



Po koncercie Andrzeja Olejniczaka i „Adzika” Sendeckiego w Piwnicy pod Baranami w ramach Summer Jazz Festival 2018, muzycy wraz z gośćmi przenieśli się do Jazz Clubu „U Muniaka”. W Piwnicy był już Michał Urbaniak. Dyrektor Festiwalu, Witold Wnuk korzystając z okazji zaaranżował „jam session”. Mimo późnej pory, spontaniczny koncert wyszedł fantastycznie. Tak jak chciał Janusz Muniak, jego klub wciąż działa i przyciąga młodych ludzi. Na zdjęciu Andrzej Olejniczak (z lewej) i Michał Urbaniak (z prawej) wraz z młodymi adeptami jazzu, fot. Jacek Gwizdka.

Z Januszem Muniakiem rozmawia Bożena U. Zaremba.

Kraków 2006 r., ulica Floriańska 3, tuż przy Rynku Głównym. W bramie przeciskamy się przez stoisko z okularami przeciwsłonecznymi i parasolami - w Krakowie trzeba być przygotowanym na każdą pogodę. Potem kantor wymiany walut, po prawej drzwi do podziemia. To chyba tu. Jest wywieszka, właściwie skromna kartka - dzisiaj gra Janusz Muniak. Piwnica taka jak wiele w krakowskich kamienicach Starego Miasta, a jednak inna. Jakby inna temperatura. Dosiadamy się z mężem do dwóch, jak się okazało, Amerykanów. Jeden z nich to daleki krewny samego Stana Getza. Dla nich klub „U Muniaka” to jedno z miejsc, które koniecznie trzeba w Krakowie „doświadczyć”; w końcu w plebiscycie „Jazz Forum” na najlepsze kluby jazzowe w Polsce jest na samym topie.

Mąż popija „Jazz Mana”, ja w końcu decyduję się na „Summertime”. Bez specjalnych zapowiedzi pojawia się na scenie kilku muzyków, a między nimi niewysoki, niepozorny, Janusz Muniak, który, gdy zaczyna grać staje się wielki. Taki mały wielki człowiek. W czasie przerwy próbuję namówić go na rozmowę. Niezbyt chętnie, bo wspominek nie lubi, ale w końcu się zgadza porozmawiać o swoim Klubie jazzowym. O klubie, podkreśla, nie restauracji.

Janusz Muniak:

U nas szczególnie ważne jest to rozgraniczenie. Restauracja służy gościom w sposób wiadomy, natomiast generalną zasadą i powinnością tego miejsca jest uprawianie muzyki.

Bożena U. Zaremba:

Niedawno pewien znany polski jazzman szczycił się tym, że on nigdy nie grał do kotleta. Czy rzeczywiście przynosi to ujmę?

Według mnie, nie. Tyle, że w naszym kraju, w naszej mentalności, jest to inaczej pojmowane – że w restauracji gra się gorszą muzykę. Ale na przykład w Ameryce, jak wiem, grywa się jazz w hotelach, czy w salach, gdzie podaje się różne rzeczy. Przecież to nie miejsce świadczy o tym czy muzycy grają dobrze czy nie. Można przecież grać kiepsko w filharmonii. Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, gdzie się gra.

W końcu jazz był w swych początkach muzyką „użytkową”, graną przez wiele lat po prostu do tańca...

Nawet muzyka poważna, którą gra się teraz w filharmonii, niekiedy służyła do tańca. Tym co mówią, że do kotleta nie wypada grać, mogę więc powiedzieć, że, odwracając jakby sytuację, nic nie szkodzi, jeżeli w miejscu, w którym się gra,

można zjeść kotleta, który jest jedynie dodatkiem. Mnie nie przeszkadza, że ludzie jedzą w trakcie grania. Raczej to, że nie wiedzą, jak się zachować. Najgorsze są zorganizowane wycieczki – straszliwie hałasują. Kompletny brak szacunku dla miejsca. Jedynie Amerykanie wiedzą, gdzie przychodzą.

Jak zrodził się pomysł otwarcia klubu jazzowego „U Muniaka”?

Pomysł ten za mną chodził od długiego czasu. Kiedyś był w Krakowie taki mały klub jazzowy przy ulicy Św. Marka, „Helicon”, gdzie ja, jako młody chłopak stawiałem swoje pierwsze muzyczne kroki. Przez ten, historyczny już, klub przewinęło się wielu znakomitych, do dziś grających i uznanych muzyków. Była to taka wylęgarnia wspaniałych jazzmanów. Wreszcie władzom komunistycznym nie spodobało się, że tu się rozwija taka enklawa wolności i klub został zamknięty w 1968 roku. Mnie zaświtał taki pomysł, żeby reaktywować coś na kształt tego właśnie klubu, gdzie muzycy jazzowi mogą się spotykać i grać.

Klub „U Muniaka” istnieje od 1992 roku. Czy napotkał Pan na jakieś problemy przy jego prowadzeniu?

Gdybym wiedział co mnie czeka, to bym szybko biegł w odwrotną stronę. To jest bardzo wielkie szczęście dla człowieka, że nie wie

co go czeka, bo by z wielu rzeczy zrezygnował. Sprawy, które się działy zaraz po założeniu klubu były wręcz skandaliczne, łącznie z zagrożeniem mojego życia, ale nie chciałbym o tym wszystkim mówić. Faktem jest, że przez to przebrnąłem, że się uodporniłem. Nawet na to, że ludzie najbardziej zaufani mogą zawieść na całej linii. To się uciszyło, klub istnieje, głównie dzięki wspaniałemu Januszowi Lunzowi, [który zajmuje się stroną biznesową Klubu]. Przy tym nie jest pazerny, on po prostu polubił muzyków i to co się tutaj dzieje. Nie jest on wcale łagodnym facetem i nie może być. Bez niego to ja bym się zupełnie wyłożył na plecy.

Czy prowadzenie Klubu jest nadal uciążliwe?

Wiele trudności na szczęście zelżało. Natomiast na biurokrację nie ma rady. W mentalności urzędników kuchnia przynosi zyski, a przecież w moim Klubie jest ona tylko dodatkiem. Przez dwa lata chodziłem do urzędu tłumaczyć, że tutaj sprawą pierwszoplanową jest muzyka. Wywalczyłem w końcu stawkę preferencyjną [na wynajem lokalu]. Przychodzi jednak następna zmiana kadencji i wraz z nią podwyżka czynszu o 400%. Ale nie ma co narzekać. Żyjemy w końcu w czasach wielkich przemian. Co jest bardzo satysfakcjonujące to to, że z biegiem czasu młodzi muzycy jakoś przyłgnęli do tego miejsca i bardzo lubią tutaj być i grać, tutaj szlifują swoje umiejętności, zakładają swoje grupy.

Jak wygląda zapraszanie gości do grania w Klubie?

Na początku były problemy, musiałem dzwonić, prosić. Ale teraz to ja w ogóle nie muszę się przejmować kto będzie grał, dlatego, że ci młodzi muzycy sami to organizują. Oni mnie znakomicie poznali, a ja ich, nie ma żadnych scysji, jak to nieraz w tym środowisku bywa. Ja traktuję ich jak własne dzieci, a oni traktują mnie jak ojca. Relacje są po prostu znakomite. Od dziecka marzyłem, poprzez wrodzone lenistwo, o takim *perpetum mobile* – żeby raz wpuszczone w ruch, samo się kręciło. I to w tym kontekście się bardzo dobrze sprawdziło. Żadnych podpisów, żadnych legitymacji, żadnych zobowiązań. I jeszcze, żeby ludzie sobie wierzyli i nawzajem się szanowali. I to udało mi się tutaj stworzyć.

Młodzi muzycy nie tylko występują u Pana w Klubie, ale także na ostatnich Pańskich płytach. Czy wynika to z chęci ich promowania czy też czerpania inspiracji z młodego pokolenia muzyków?

Postępuję trochę jak dziecko. Żadnego wyrachowania, kalkulowania. To odbywa się zupełnie naturalnie. Oni po prostu tutaj są. Gramy razem, z biegiem czasu to się wyszlifuje i okazuje się, że można z tego zrobić jakiś materiał. I wtedy coś nagrywam.



Jazz Club „U Muniaka”, Andrzej Olejniczak (saksofon), w tle fotografia Janusza Muniaka, lipiec 2018, fot. Jacek Gwizdka.

W Klubie zagrało wielu wybitnych polskich jazzmanów - Tomasz Stańko, Zbigniew Namysłowski, Jarosław Śmietana, Andrzej Jagodziński, Wojciech Karolak. Gościli tutaj także Wynton Marsalis i Nigel Kennedy...

Też Ravi Coltrane, syn Johna Coltrane'a. Świetnie tutaj zagrał i był bardzo zadowolony. Ale te nazwiska można by mnożyć. Ja nie tworzę pamiątek i nie mam tak całkiem świadomości kto tu występował. My nie mamy możliwości, żeby na przykład z Ameryki sprowadzić gościa specjalnie. Ale jeśli jest jakaś większa impreza, ktoś ich sprowadzi do Krakowa, to przy okazji przychodzą pograć do mojego Klubu. Marsalis tak właśnie tutaj trafił. Sam chciał tutaj zagrać. Grał dwa dni, o pieniądze nie pytał. I tak wielu muzyków amerykańskich przewinęło się przez Klub. W tej chwili w Stanach wielu muzyków ma świadomość jego istnienia.

Tak więc wiele koncertów odbywa się spontanicznie i bezplanowo...

W zasadzie tak, bo plany często nie wypalają. Nie robimy hucznych, spektakularnych imprez, bo uważam, że chleb powszedni, czyli kromka chleba i szklanka wody są człowiekowi najbardziej potrzebne.

Mówiąc o chlebie powszednim - czy jazzman jest w stanie wyżyć z muzyki?

To pytanie towarzyszy muzyce odwiecznie. Ja powiem, że to nie jest łatwe życie, to jest ryzyko. To nie jest tak jak pracuje się w fabryce, jest etat, są związki zawodowe, które bronią

pracownika. My też przeżyliśmy związki. Ale jeżeli człowiek sobie sam nie pomoże to nikt mu nie pomoże. Jedni narzekają, że nie mogą wyżyć, że mają mało pracy. Muzyk w końcu ma pracę, kiedy go zaproszą tu czy tam. Albo musi mieć menadżera. Ja nie mam menadżera. Poza tym, z wiekiem, moje wymagania się uspokoiły. Wystarczy, że ten Klub istnieje. Ta cała ekipa to nie są ludzie, którzy przyszli się tutaj dorobić. My moglibyśmy łatwo opuścić ręce i powiedzieć – to się nie opłaca. Bo to się nie opłaca. Ale popatrzmy na to ile tutaj młodych ludzi przychodzi, chcą grać i nie pytają o pieniądze. Trudno znaleźć takie miejsce. Coś ich tutaj przyciąga. Ja sam nie wiem co. Faktem jest, że oni chcą tu grać. Może to miejsce da im szansę wyjścia dalej na estradę. Mogą tutaj swój indywidualny program tworzyć i potem realizować go poza Klubem.



Jam session w Jazz Clubie „U Muniaka”, lipiec 2018 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy Klub ma jakiś sponsorów?

Nie, żadnych.

A państwo - czy jest pomocne?

Nie, bo nasze ustawodawstwo nie przewiduje pomocy indywidualnej osobie. Pomoc przewidziana jest dla związków czy stowarzyszeń. A ja się z tego wyleczyłem, ponieważ mam złe wspomnienia z założonej przeze mnie fundacji. Uważam, że im więcej paragrafów i podpisów tym więcej bałaganu. W Klubie w tych sprawach ograniczyliśmy się do minimum. Poza tym, nie ma co oglądać się na pomoc państwa czy kogokolwiek; trzeba wziąć sprawy we własne ręce i liczyć przede wszystkim na siebie.

W tym roku w Krakowie odbył się dziesiąty już Letni Festiwal Jazzowy Piwnicy pod Baranami. Nota bene, Pański kwartet zagrał na koncercie inauguracyjnym tego festiwalu. W ostatnich latach festiwal ten bardzo się rozrósł, jest też w Krakowie więcej koncertów i klubów jazzowych działających na stałe. Więc jednak coś się dzieje...

Z tymi klubami jest różnie, niektóre są mniej inne bardziej jazzowe. A to, że Witkowi Wnukowi udaje się robić ten festiwal to

wspaniale. Ja jednak jestem tylko muzykiem i nie zajmuję się menagementem. To jest moje mistrzostwo, że tutaj wszystko samo się organizuje. Ja chcę tylko jeszcze trochę pograć.

Janusz Muniak zmarł 31 stycznia 2016 r.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim” w Nowym Jorku w styczniu 2006 r.

Zob. też:

<http://www.cultureave.com/koncert-andrzej-olejniczaka-i-vladyslava-adzika-sendeckiego-w-piwnicy-pod-baranami/>

Smugi rzeczy



Ryszard Sawicki

Smugi rzeczy: drzewa i przydrożne krzewy szybko przebiegają przez pole widzenia. Są i już ich nie ma. Przemieniają kształty, osobne w rozmyte, podobne we wspólne. Wzrok chwytą sylwetki przedmiotów i niemal w tej samej chwili porzuca. Oczy nie przekazują pamięci niczego dokładnie, pamięć pozostaje pusta. Nie ważne czy tamten pień drzewa pochylony był w prawo czy w lewo, czy gałęzie strzelały mocno w górę, czy opadały ku ziemi, jakby pozbawione żywotnych sił, a tylko ich końcówki sięgały wyżej.

Pociąg jechał od zachodniej granicy ku wschodniej. Zachodnia granica przestała być granicą, została unicestwiona. Wschodnia granica wciąż trwała, ale nie miała trwać już długo. Podróżni

pociągu wiedzieli jednak tylko o tym co było za nimi, nie o tym co czekało ich tam, dokąd zdążali. Uciekali od wydarzeń pogranicza, ale nie zdawali sobie sprawy, że ucieczka nie może być w pełni udana. Pęd pociągu i pęd wydarzeń nakładały się na siebie. Widzieli za oknami pędzącego pociągu rozmyte pnie drzew, ale nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, że wiele innych rzeczy oglądać będą przez kilka następnych lat podobnie rozmytymi, jakby to były bezkształtne smugi lub cienie rzeczy.

Leszek siedział na stopniach towarowego wagonu, który zajmowali podróżni ze swym dobytkiem. Wagony pasażerskie były przepełnione, było w nich duszno, a w wagonie towarowym, choć pozbawionym ławek, nie brakowało świeżego powietrza. Dni były pogodne i ciepłe, ale noce chłodne, zaczynała się jesień. W nocy drewniane drzwi wagonu zasuwano, wtedy Leszek się krył wśród przedmiotów ustawionych wzdłuż ścian, próbował zasnąć. Celem jego podróży było rodzinne miasto na południowym wschodzie kraju, pociąg jechał jednak na północny wschód. Po drodze miał się przesiąść do innego pociągu, ale nie wiedział, na której stacji uda mu się to zrobić. Nie wiedział, kiedy dojedzie do celu.

Zapatrzony w przestrzeń ku południowi nie starał się dostrzegać dalekich zagajników ani wiejskich zabudowań. Nie starał się zatrzymywać wzroku na tym, co jawiło się niemal trwałe pod pogodnym niebem. Podobnie, jak nie starał się doganiać

wzrokiem umykających pni drzew, które pociąg mijał w pędzie, tak i tamtym, niemal nieruchomym, oddalonym drzewom, nie pozwalał przyciągać swego wzroku. Pozwalał, aby oczy napełniały się migotaniem światła i cieni i aby pamięć rejestrowała tylko to migotanie. Tak było lepiej, myślał. Lepiej patrzeć na świat nie dotykając niczego szczególnego w tym świecie. Nie dotykając nawet wzrokiem. Dopiero, gdy następowało gwałtowne zatrzymanie pociągu, a ludzie wyskakiwali przez otwarte lub otwierane z trzaskiem drzwi i biegli w pole, dopiero wtedy, biegnąc razem z nimi, starał się szybko znaleźć bruzdę dla siebie i upadłszy w nią, skryć twarz w wilgotnej ziemi. Wyskakiwał zwykle przed innymi, gdy pociąg był jeszcze w ruchu. Przeskakiwał rów i umykał jak najdalej od pociągu, który stawał się celem lotniczych bomb i serii z karabinów maszynowych nadlatujących maszyn.

Od chwili odjazdu z ostrzeliwanego dworca kolejowego w Poznaniu nie widział nic tak wyraźnie, jak owe miejsca odległe o kilkadziesiąt metrów od toru, ku którym biegł co tchu; miejsca niczym szczególnym nie wyróżnione, a jednak bez wahania wybierane jako miejsca bezpieczne. Leżąc w bruzdzie mocno przyciskał twarz do ziemi, tym mocniej im głośniejszy był gwizd nadlatującej bomby, a potem wybuch. Nie podnosił się od razu, kiedy cichły. Trwał jeszcze chwilę bez ruchu, czekał aż minie lęk. Nie nazywał tego uczucia, ale wiedział czym jest. Nazwane mogło stać się wyraźniejsze, bardziej dotkliwe. Mijało, uchodziło

szybko, niemal tak samo szybko, jak człowiek biegnący przez pole w poszukiwaniu schronienia.

Miał piętnaście lat, gdy wojna zaskoczyła go podczas pobytu w obcym mieście. Pojechał do Poznania z rodzinnego Lwowa na zaproszenie starszego brata, Tadeusza. Cieszył się na spotkanie z bratem, zwłaszcza, że nie widzieli się przez ostatnie kilka miesięcy, bo Tadeusz, jako wojskowy pilot-obszernator, nie mógł opuszczać jednostki poznańskiej z uwagi na zagrożenie wojenne. Spotkał się z Tadeuszem, ale nie mogli spędzać ze sobą wiele czasu. Tadeusz był zbyt zajęty sprawami służbowymi na lotnisku w Ławicy. Leszek dostał od brata klucze do mieszkania w centrum miasta przy ulicy Reja numer 1/5 oraz pięćdziesiąt złotych (co wydawało mu się sporą fortuną), a także bilet upoważniający do korzystania z przystani klubu oficerów lotnictwa na pobliskim jeziorze Kierskim.

Nim znalazł się w Poznaniu pod koniec wakacji, Leszek był na półtoramiesięcznym wędrownym obozie harcerskim. Wędrował po Podolu na piechotę, wrócił piętnastego sierpnia opalony, pełen radości i energii. W książce harcerskiej miał wpisane osiemnaście sprawności. Podczas pieszych wędrówek nie pamiętał o nastrojach wojennych panujących w kraju. Dopiero po powrocie do domu zaczął przeglądać nagromadzone gazety. W wydaniu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z dwudziestego piątego sierpnia przeczytał komunikat o pakcie przyjaźni

zawartym między sowiecką Rosją i hitlerowskimi Niemcami. Obok artykułu opublikowano zdjęcia Stalina, Mołotowa i Ribbentropa, sygnatariuszy paktu. We Lwowie nie komentowano szeroko tego komunikatu. Groźniejsze wydawały się doniesienia o akcjach dywersyjnych organizowanych na zachodnim pograniczu przez niemieckie bojówki. W tym samym numerze IKC znalazł artykuł, w którym lewicujący młody poeta tłumaczył się ze swego wiersza nawołującego do tego, by lud „rzucił karabiny”, nie przygotowywał się do walki. Wiersz teraz drażnił społeczeństwo przygotowujące się do obrony kraju, więc poeta uważał za stosowne wyjaśnić swoje motywy, które nim kierowały, gdy długo przed trzydziestym dziewiątym rokiem napisał i opublikował tamten wiersz.

Oprócz lektury gazet, Leszek słuchał z rodzicami i starszą siostrą komunikatów radiowych. Rodzice kupili niedawno za poradą Tadzika aparat radiowy „Telefunken”, który odbierał nie tylko polskie, ale i zagraniczne stacje radiowe. Rozgłośnie w Gliwicach i Wrocławiu nadawały po polsku, ale z obcym akcentem, audycje przepełnione agresywną niemiecką propagandą. Szczególnie znienawidzony był spiker znany pod swoim zdrobniałym imieniem: Teofilek. Odczytywał fałszywe wiadomości o rzekomych dezercjach z polskiej armii, przeprowadzał nawet wywiady z ludźmi podającymi się za dezertersów. We Lwowie żartowano, że należy drania Teofilka powiesić na radiowej antenie.

Nie ze wszystkiego można jednak było żartować. Leszek już w 1936 roku, jako uczeń szkoły powszechnej, przeszedł kurs organizowany przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Pamiętał dobrze instrukcje zakładania maski przeciwgazowej. Pani Pasternakówna, instruktor, wystrzeliła podczas kursu pocisk z gazem łzawiącym, a harcerze siedzący w ławkach izby harcerskiej nakładali szybko maski i wkręcali pochłaniacze. Mógł się pochwalić opaską na ramię w kolorach żółtym i zielonym, którą należało nosić, jeśli zaistniałaby potrzeba organizowania dyżurów. Dostał też funkcję gońca w drużynie. Minęło sporo lat od pierwszej wojny światowej, ale w Europie dobrze pamiętano takie nazwy gazów, jak iperyt i fosgen.

W domu przy ulicy Łyczakowskiej postanowiono zakleić okna paskami papieru, by uchronić szyby przed podmuchem powietrza podczas wybuchu bomb. Rodzice polecieli dzieciom, by cięli papier na paski i naklejali je, skrzyżowane, na szyby. Leszek pamiętał o tych paskach na oknach w domu rodziców, gdy leżał w polu przyciskając twarz do ziemi i słuchając wybuchów bomb. Obraz okien oklejonych papierem krzyżował się z obrazami ulic Poznania, widokami jeziora, po którym pływał kajakiem.

Kiedy zaklejał okna w lwowskim domu rodzinnym, czynność ta wydawała mu się absurdalna, niepotrzebna, a ponadto nudna. List Tadzika zawierał zaproszenie do Poznania, a więc i obietnicę

dalszych wakacyjnych przygód. Ucieszył się, że wakacje poza domem nieco się przedłużą, miał okazję zapomnieć o ponurym nastroju. Tadzik był starszy od Leszka o dwanaście lat. Przed wybuchem wojny służył w trzecim pułku lotniczym w Poznaniu. Był porucznikiem-obserwatorem. Na wiosnę przekonywał jeszcze rodzinę, że do wojny nie dojdzie, powtarzał znane z prasy argumenty, że Niemcy boją się międzynarodowej opinii publicznej, nie będą ryzykować wojny w sytuacji, gdy Polska podpisała sojusze z Anglią i Francją i w razie zagrożenia może liczyć na pomoc sojuszników. W lecie już tak nie pisał. Poprosił Leszka, by przyjechał do Poznania i zabrał jego rzeczy, zawiózł je do Lwowa. Przysłał Leszkowi czterdzieści złotych na tę eskapadę, co młodszemu bratu wydawało się ogromną sumą, gwarantującą dobrą zabawę.

Dwudziestego siódmego sierpnia, ubrany w gimnazjalny mundur z naszytą na rękawie obowiązkową tarczą szkolną na ramieniu, Leszek wyszedł z domu z małą tekturową walizką. Na dłoniach miał piękne rękawiczki *pekari*, które dostał na imieniny, i z których był bardzo dumny. Wsiadł do pociągu w stolicy Podola i po długiej, ośmiuset kilometrowej podróży wysiadł na dworcu w stolicy Wielkopolski. Przejeżdżając przez mosty pociąg zwalniał, wtedy widział żołnierzy, a także strzelców z *maciejówkami* na głowach, którzy zajmowali posterunki na przyczółkach mostów. W Tarnowie nie dostrzegł dworca zrujnowanego przez bombę, którą podłożył dywersant. Przez Górny Śląsk jechał nocą. Za

szybą wagonu widział światła huty żelaza położonej blisko torów. Niedaleko była też granica z Rzeszą, ale po wschodniej stronie istniejącej wciąż granicy nic szczególnego się nie działo. Rano przybył do Poznania.

Po wyjściu z dworca skierował się na zachód, w stronę ulicy Reja. Bez trudu odnalazł dom oznaczony numerem 33a, gdzie Tadzik z kolegą Józefem Tomaszewskim wynajmowali mieszkanie. Ulica wydała mu się nieco ponura, nie tak jasna jak ulica Łyczakowska we Lwowie, przy której stała willa wynajmowana przez rodziców. Okna w mieszkaniu należącym do pani Wicherskiej nie wychodziły na ogród, tak jak okna willi. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że mieszkańcy Poznania także oklejali okna paskami papieru. Ale nie poddał się bynajmniej ponuremu nastrojowi ulicy i mieszkania z zaklejonymi oknami. Nie po to przecież przejechał przez pół kraju, by znów myśleć o czymkolwiek ponurym. Na stole w pokoju brata znalazł kartkę z instrukcjami. Rozgościł się, umył i zjadł posiłek podany przez gospodynię. Tadzik nie mógł go przywitać, bo od kilku dni przemieszkował przy swojej jednostce na lotnisku, nie wracał do miasta. Dopiero po południu przyjechał z przyjacielem Tomkiem, kiedy udało im się dostać przepustkę w Ławicy, ale po serdecznym przywitaniu i potwierdzeniu instrukcji zapisanych na kartce, musieli się rozstać.

Przez następne cztery dni, ostatnie dni sierpnia 1939 roku,

Leszek chodził po Poznaniu, wyjeżdżał za miasto. Obserwował coraz więcej oznak zagrożenia wojną. Ludzie dokonywali większych niż zwykle zakupów. Pod sklepami stały długie kolejki, wykupywano mąkę, cukier, słoninę. Krążyły wieści o tym, że pieniądze papierowe mogą stracić wartość. Gromadzono bilon, zwłaszcza srebrne monety. Podobno jakiś niemiecki sprzedawca ukrył zapasy żywności, więc tłum przeprowadził szturm na jego sklep. Przechodząc koło tego sklepu widział osmolone drzwi i zdemolowane wnętrze. Nastroje antyniemieckie objawiały się rozmaicie. Gazeciarze sprzedawali papierowe składanki z karykaturami Hitlera. Przejeżdżający ciężarówkami robotnicy wytwórni baterii Centra śpiewali satyryczne piosenki, w których niewybrednymi słowami urągali Hitlerowi.

Mimo rosnącego z dnia na dzień zagrożenia, Leszek nie tracił ducha. Nastrój poprawiło mu zwłaszcza kolejne spotkanie z bratem i jego przyjacielem. Obydwaj lotnicy przyjechali z lotniska ubrani w mundury, z kordzikami przy boku. Dołączyły do nich dwie znajome panie, wyszli w piątkę do miasta. Lotnicy prezentowali się bardzo elegancko. Leszek cieszył się, że też ma mundur, choć był to tylko mundur szkolny. Kiedy weszli do kawiarni „Arkadia” przy Placu Wolności, orkiestra przerwała graną właśnie melodię taneczną i zagrała „Pierwszą Brygadę”, a wszyscy goście siedzący przy stolikach wstali z miejsc i przywitali ich oklaskami. To była szczególna chwila. Leszek nie przypuszczał, że widzi się z bratem po raz ostatni.

Przed odjazdem na lotnisko Tadzik dał Leszkowi jeszcze pięćdziesiąt złotych, na wszelki wypadek, jak tłumaczył. Poinformował go co ma robić, gdyby doszło do wybuchu wojny. Prosił, by brat zabrał do domu walizkę, w której zapakowane już były rzeczy osobiste, książki i notatki akademickie. Powiedział przed pożegnaniem: „Siedź w Poznaniu póki można, baw się!”

Następnego dnia Tadzik zadzwonił z lotniska w Ławicy do pani Wicherskiej, rozmawiał z Leszkiem przez telefon. Było to trzydziestego sierpnia. Jeszcze nie nakazywał wyjazdu. Ale 31 telefon milczał. Leszek poszedł jeszcze do ogrodu zoologicznego, pływał kajakiem po jeziorze. Gdy wrócił do miasta, na ścianach domów i płotach wisiały porozklejane plakaty mobilizacyjne. Zastanowił się, czy ma wyjeżdżać, lecz decyzję odłożył do piątku, bo i tak mógł zdążyć na zajęcia szkolne, które ministerstwo poleciło rozpocząć 4 września. Była wciąż piękna pogoda.

Pierwszego września pani Wicherska zbudziła go wcześnie rano wołaniem: „Poznań już zbombardowali”. Była bardzo wzburzona. „Czy będą gazy?”, pytała raczej siebie niż gościa. Leszek zapisał w swoich wspomnieniach, że nie słyszał wybuchów, pewnie przespał też wycie syren alarmowych. Szybko zorientował się co robią mieszkańcy budynku. Wszyscy przygotowywali ochronne tampony do założenia na usta i nos w razie ataku gazowego. On też miał taki tampon, przywiózł go ze Lwowa. Teraz wyjął ze swojej małej walizki, by mieć pod ręką. W salonie gospodyni

prowadziła nerwową rozmowę z rodziną. Zastanawiali się, czy zostać w mieście, czy jechać do majątku na wsi. W kamienicy funkcjonowały dyżury obywatelskie, mieszkańcy zmieniali się kolejno przy oknach w dachu. Wypatrywali samolotów Luftwaffe. Słuchano radia, przeglądano gorączkowo gazety. Stos gazet leżał na stole u pani Wicherskiej.

Leszek nie zaglądał do gazet, nie słuchał dłużej rozmowy gospodyni. Wybiegł na miasto. Ludzie podawali sobie z ust do ust wiadomości o tym, co, kiedy i gdzie zostało zbombardowane. Krążyły plotki o zrzuconiu bomb gazowych. Na ulicach, którymi szybko przechodził, widział tylko potłuczone szyby, niewielkie uszkodzenia budynków i połamane gałęzie. Bomba upadła na ogród zoologiczny, ale zniszczyła tylko ogrodzenie i drzewa. Po tej wędrówce wrócił na ulicę Reja. Pani Wicherska nie zrobiła zapasów chleba, poczęstowała Leszka twardymi herbatnikami.

Po tym skromnym posiłku postanowił dowiedzieć się jakie pociągi wyjeżdżają do Lwowa. Z Reja do dworca nie było daleko. Za chwilę miał być z powrotem, doczekać do odjazdu pociągu, zabrać swoją walizkę i walizę Tadzika. Planował, że wyjedzie z Poznania inną trasą niż ta, którą przyjechał. Przecież tamtędy tory biegną bardzo blisko granicy, to zbyt niebezpieczne. Miał zamiar jechać w kierunku Warszawy, po drodze lub w stolicy przesiąść się na pociąg jadący w stronę Lwowa.

Kiedy szukał informacji na dworcu poznańskim rozległ się alarm lotniczy. Wszyscy zbiegli do schronów, które mieściły się w tunelach między peronami. Zapadło milczenie, wsłuchiowano się w dalsze i bliższe wybuchy. Odgłosom wybuchów wtórowały ciche modlitwy.

Samoloty i tym razem nie zbombardowały dworca. „Może odstraszyli ich polscy myśliwcy”, pomyślał. Syreny oznajmiły koniec nalotu, wyszedł więc do holu dworca. Wciąż nie znał rozkładu jazdy, nie mógł zdobyć informacji wśród panującego rozgardiaszu. I znowu rozległo się wycie syren. Nim odwołano drugi nalot, minęła godzina. Jednak i ten nalot nie był ostatnim, ani najgroźniejszym. Najgroźniejszy był nalot trzeci. To wtedy zaczął się modlić razem z innymi. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że znajduje się w najbardziej zagrożonym obiekcie miasta. Strach minął, ale pozostało otępienie, które miało mu towarzyszyć w całej drodze powrotnej. Kiedy wyszedł na peron zapadał zmrok. Obok budynku dworcowego paliły się magazyny firmy transportowej Hartwiga. Blask płomieni oświeślał na czerwono jasne mury dworca kolejowego.

Peron, przy którym się znalazł po wyjściu ze schronu nie był uszkodzony, jednak bomba rozbiła wagon towarowy w składzie, który stał na peronie. Pociąg wypełniony był ludźmi ewakuowanymi z pogranicza i ich dobytkiem. Wszystko, co było zgromadzone w wagonie, pościel, pierzyny, odzież, zostało

rozrzucone po peronie. Strzępy płótna i pierze wisiały nawet na gałęziach okolicznych drzew. Leszek rozglądał się dookoła, chodził raz w jedną raz w drugą stronę. Nie wiedział dokąd iść. Pod butami chrzęściło szkło, potykał się o kawałki cegieł i tynku.

Wśród zgiełku usłyszał nagle podawany przez megafony komunikat, że z jednego z peronów odjeżdża pociąg ewakuacyjny w kierunku Warszawy. Podjął błyskawiczną decyzję, pobiegł na właściwy peron, wskoczył w otwarte drzwi wagonu towarowego. Po kilkunastu minutach jechał już na północny wschód. Za sobą zostawiał chaos pierwszego dnia wojny. W pokoju przy Reja została też jego walizka i walizka Tadzika. Stracił też jesienny płaszcz i piękne rękawiczki, z których był tak dumny. Miał na sobie tylko szkolny mundur z niebieską tarczą na rękawie. Na tarczy naszyty był numer 365. Z tym numerem, w piętnastym roku życia, o godzinie siódmej wieczorem, rozpoczynał swoją wielką, o wiele większą niż przypuszczał przed paroma jeszcze dniami, przygodę wakacyjną. „Dnia pierwszego września roku pamiętnego”, jak podpowiada piosenka.

Podróż trwała przez następnych siedem dni. W wagonie, do którego Leszek zdążył wskoczyć, jechała rodzina kolejarza z Międzychodu, stacji granicznej na linii kolejowej Poznań-Berlin. Kolejarze dostali polecenie ewakuacji ze względu na to, że mogli stać się pierwszymi ofiarami okupanta. W wagonie wieźli całe wyposażenie domu, które zdążyli zabrać. Wśród mebli leżały

materace, kołdry, pierzyny. Inne wagony towarowe załadowane były podobnie. Kolejarz i jego żona byli w średnim wieku. Mieli dwoje dzieci. Syn był starszy, a córka w wieku Leszka.

Na początku podróży Leszek siedział osobno na stopniach wagonu smutny i zamyślony. Wpatrywał się otępiałym wzrokiem w przestrzeń. Z upływem czasu zaczął rozmawiać z przygodnymi znajomymi. Od nich też dostał pierwszy posiłek. Nie jadł cały dzień, był głodny, ale głód zaczął mu dokuczać dopiero z nadejściem zmroku. Następnego dnia syn kolejarza wypatrzył tuż za lokomotywą wagon wiozący, oprócz zwykłych pocztowych przesyłek, także wielką pakę sera z niemieckiej spółdzielni mleczarskiej na Pomorzu. Z pomocą kilku innych kolejarzy przecięli scyzorykiem deski skrzyni i dobrali się do olbrzymiego, metrowej średnicy kręgu gołubskiego sera. Przez cały dzień posilali się żółtym serem, bo na stacjach nie można było niczego kupić, wszędzie panował zamęt. Dopiero trzeciego dnia podróżni mogli korzystać z punktów sprzedaży żywności zorganizowanych na peronach przez Polski Czerwony Krzyż. W czasie krótkich postojów pasażerowie śpieszyli do rozstawionych stołów z czystymi, białymi obrusami, na których stały tace z kanapkami, dzbanki z kawą zbożową, a czasem i kakao, kotły z zupą i stosy blaszanych misek.

Pociąg jechał wolno, bywał przetrzymywany na niektórych stacjach. Leszek stał się członkiem kolejarskiej rodziny. Sypiał w

kącie wagonu pod jedną z ich kołder, jadał z nimi posiłki. Razem wypatrywali nieprzyjacielskich samolotów i razem uciekali w pole, gdy się zbliżały. Pociąg nie miał ochrony przeciwlotniczej i mógł stać się łatwym łupem dla przelatujących eskadr z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Pierwsze bombardowanie zaskoczyło i pasażerów i obsługę pociągu. Maszynista nie zahamował, gwizd bomb mieszał się z monotonnym stukotem kół pociągu. Skuleni wśród swych rzeczy pasażerowie dopiero po długiej chwili mogli odetchnąć z ulgą. Tym razem nikt jednak nie zginął, nalot nie wyrządził wielu szkód. Później obserwatorzy ostrzegali maszynistę w porę, zatrzymywał więc pociąg i dawał gwizdem lokomotywy sygnały alarmowe. Wtedy kto mógł wyskakiwał z wagonów i szukał schronienia w zagłębieniach ziemi. Bomby zrzucone były z dużej wysokości, a więc niecelne. Znacznie bardziej niebezpieczne były pojawiające się w pojedynkę myśliwskie samoloty, które z małego pułapu ostrzeliwały pociąg z broni pokładowej.

W czasie jazdy Leszek przesiadywał najczęściej na stopniach wagonu. Nie opierał nóg na stopniach, pozwalał, by zwisały bezwładnie poza stopniami. Ten bezwład nóg przenikał całe ciało, wdzierał się w zakamarki umysłu, paraliżował. Ale błyskawicznie mijał, gdy odzywał się alarm. Bezwład i odpoczynek to jedno. Sprężenie do skoku, skok, bieg, to co innego, to niczym nie pohamowane działanie. W każdej chwili gotów był do sprężenia mięśni, poderwania się, do szybkich

ruchów. Był przecież harcerzem, był nastawiony na to, że nie można się poddawać byle trudnościom. Pokonywał strach, jak pokonywał przestrzeń dzielącą tory od pola, od lasu. Przeskakiwał rów, biegł. Dopadał zagłębienia w ziemi, krył się jak tylko potrafił. A potem znowu kiwał nogami nad stopniem wagonu, patrzył przed siebie.

Pociąg posuwał się wolno, ale wytrwale ku stolicy. Ewakuowani z pogranicza ludzie zdążali w tym samym kierunku, co Leszek. Wiedzieli, że w pobliżu Lwowa czekają na nich kwatery zastępcze. Tam znaleźć mieli domy z daleka od porzuconych w pośpiechu własnych domów. Leszek jechał do swoich, którzy na niego czekali. Zapewne niepokoił się, nie wiedzieli przecież nic o jego podróży przez objętą wojną Polskę. W Warszawie Leszek dowiedział się, że jego pociąg zostanie skierowany przez Siedlce i Łuków, bo linia bezpośrednia na Rozwadów była silnie bombardowana. Na stacji za Warszawą, gdzie zostali zatrzymani na wyjątkowo długi postój, dowiedział się, że obok stoi inny pociąg, który ma odjechać szybciej w kierunku Lwowa. Nie zastanawiał się długo. Pożegnał się z rodziną kolejarza i wskoczył do innego pociągu, też pełnego uciekinierów z zachodniego pogranicza.

Na wschód od Wisły było dość spokojnie. Na małej stacji w Lubartowie wysoki, brodaty Żyd rozdawał ludziom bochenki chleba. Postój w Zamościu był szczególnie miły. Ordynacja

Zamoyskich zgotowała uciekinierom serdeczne powitanie. Na stacji czekało na nich wyśmienite jedzenie, a na deser częstowano kiściami słodkich, soczystych winogron rozłożonymi na wielu tacach. Kiedy zbliżali się następnego dnia do Rawy Ruskiej, zostali zatrzymani daleko przed stacją. Miasto przeżywało właśnie nalot bombowy. Z daleka było widać dymy płonących zabudowań. Na płonącą wciąż stację wjechali dopiero o zmroku, pół godziny po odwołaniu alarmu. Peron był wypełniony gruzem i potłuczonym szkłem. Były ślady krwi, sanitariusze biegali z noszami.

Z tego pociągu Leszek raz jeszcze przesiadł się, tym razem do osobowego pociągu jadącego wprost do Lwowa. Wsiadł na stacji Kleparów. W domu przy ulicy Łyczakowskiej znalazł się około południa. Matka witała go w progu ze łzami radości. Był jednym z trzech synów, którzy po wybuchu wojny pozostawali poza domem. Rodzice niepokoiли się bardzo o ich losy, obawiali się najgorszego. O Tadziku i Zbyszku nie było żadnych wieści. Ostatnią rozmową z Tadzikiem była rozmowa Leszka przez telefon. Zbyszek, mój ojciec, został zmobilizowany do piechoty na drugi dzień po powrocie ze studenckiej wycieczki do Rumunii. Ironią losu powędrował po rozbiciu armii niemal tą samą drogą na południe. Odnalazł się we Francji, a rodzice witali go dopiero po latach, już nie we lwowskich, a w śląskich progach. Najmłodszy Leszek był przez całą okupację w lwowskim oddziale Armii Krajowej. Mieszkał z rodzicami. Po powrocie Leszka do

Lwowa rodzina zebrała najpiękniejsze kwiaty z ogrodu i zaniósł je do kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Modlili się razem: „Na Twym świętym progu, za wrócone życie dziękujemy Bogu”. Podobnie, choć nie w tej samej świątyni, mogli się modlić po powrocie mojego ojca z tułaczki. Nie mogli jednak powtórzyć słów modlitwy po raz trzeci.

W tych samych dniach września, gdy Leszek podróżował z Poznania do Lwowa, Tadzik, jako obserwator Drugiego plutonu Trzydziestej Trzeciej Eskadry Obserwacyjnej (godło pasikonik z lornetką na tle białego rombu), wykonywał loty rozpoznawcze. Mobilizację sierpniową eskadra przeprowadziła na macierzystym lotnisku Ławica. Uzyskała stan gotowości bojowej 26 sierpnia. Rzut kołowy dojechał do jednostki w nocy z 28 na 29 sierpnia. Dowódca, kapitan obserwator Stanisław Zaleski miał do dyspozycji siedem samolotów „Czapla” (RWD 14). Drugi pluton został przesunięty na lotnisko Dembe koło Kalisza. W dniach 2 i 3 września załogi obu plutonów wykonały po kilka lotów rozpoznawczych. Załogi drugiego plutonu przeniosły się przed wieczorem w rejon miasta Turek. Wieczorem 4 września, nastąpiło kolejne przeniesienie w rejon Inowrocławia. Tego dnia podporucznicy Sawicki, Tomaszewski i Wilczyński wykonali trzy zadania dla dowódcy 25 DP. Następnego dnia, 5 września wykonały trzy zadania m.in. w rejonie Kalisz i Ostrów Wielkopolski. Z rozpoznania w rejonie Poddębice i Warta nie wrócili podporucznik Sawicki i kapral-pilot Ślebioda. W sumie,

od 1 do 14 września, załogi 33 Eskadry wykonały 44 zadania bojowe, w tym 4 loty łącznościowe. Straty eskadry to 4 poległych, w tym Tadeusz Sawicki oraz 8 zaginionych, w tym Józef Tomaszewski. Z siedmiu „Czapli” nie została ani jedna, żadna więc nie była ewakuowana do Rumunii.

Do tej relacji z książki „Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939” opublikowanej w serii „Skrzydlatej Polski” w roku 1982 dodać mogę, na podstawie wspomnień rodzinnych, że Tomek (Józef Tomaszewski) zjawił się we Lwowie już po zajęciu miasta przez Sowieców. Tomaszewski lądował w rejonie Chełma razem z kolegą, podporucznikiem Rejeckim. Szukał możliwości przedostania się na Węgry. Do domu rodzinnego Tadzika trafił w ubraniu cywilnym, podpierał się na lasce. Nie miał wiadomości o Tadziku. Parę dni ukrywał się z kolegą u moich dziadków w willi przy ulicy Łyczakowskiej. Po ich odejściu dziadkowie już nigdy o nich nic nie słyszeli.

Stryj Leszek opowiedział ze szczegółami swoje przygody podczas imienin ojca, pierwszego kwietnia 2006 roku. Na imieniny matki, Zofii, przyniósł tekst wspomnień spisany na maszynie. Zakończył swoje wspomnienia relacją z pierwszych dni okupacji sowieckiej.

Dwudziestego drugiego września oglądałem pierwszych sowieckich żołnierzy wkraczających do miasta. Całe miasto

ogarnęła cisza. Ulica była pusta, przerażeni mieszkańcy stali w bramach albo przy oknach domów. Podszedłem do furtki przy ogrodzeniu. Od strony rogatki łyczakowskiej, z góry, dochodził tupot butów. Już te odgłosy sygnalizowały krok nieskładny, nie rytmiczny. Podeszli bliżej. Szli po obu stronach ulicy luźnymi szeregami. Nie maszerowali, ale właśnie szli. Było coś dziwnego w ich poruszaniu się, coś, co uderzało patrzącego, nawykłego do maszerowania w pełnym ładzie harcerza. Rozglądali się wokoło ostrożnie, stąpali powoli. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymali kurczowo karabiny z długimi, czworokątnymi bagnetami. Ubrani byli w rozmaite mundury, w hełmach lub w dziwnych szpiczastych czapkach z nausznikami i dużymi czerwonymi gwiazdami naszytymi nad czołem. Gdy mijali furtkę pomyślałem, że ich krok to nie krok żołnierzy, lecz skradających się złodziei.

Zob. też:

<http://www.cultureave.com/czapla-listy-pilota-najnowsza--ksiazka-ryszarda-sawickiego/>

Muzeum Potockich w Antoninach na Ukrainie



Teresa Bagińska-Żurawska i Wrzesław Żurawski podczas otwarcia wystawy „Antoniny po pożodze” w Łańcucie w 2015 r.

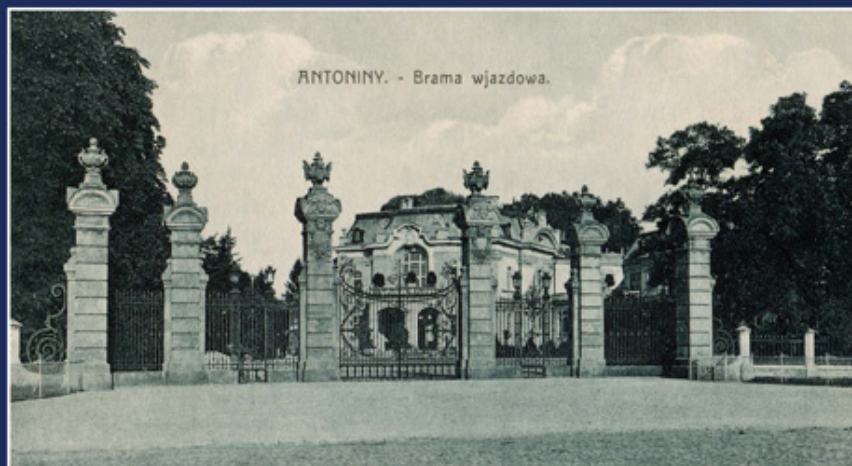
Przepiękna wystawa fotografii „Antoniny po pożodze”,

dotycząca historii pałacu Potockich na terenie obecnej Ukrainy, przygotowana przez Teresę Bagińską-Żurawską i Wrzesława Żurawskiego z Łańcuta, miała swoją uroczystą premierę 24 czerwca 2015 r. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Łańcucie. Honorowy patronat nad nią objął Marek hr. Potocki wnuk Józefa Mikołaja z Antonin, który przybył na otwarcie wraz z żoną Charlotte. Wybitnymi gośćmi były także Rosa Stanisławowa hr. Potocka i Alexandra Hohenzollern von Preussen (wnuczka cesarza Wilhelma II). Wystawa odsłoniła dzisiejszy wizerunek Antonin na tle archiwalnych fotografii.

Od tego czasu wystawa pokazywana była m.in. w Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Warszawie, czy w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Jarosławiu. Wyszła również publikacja autorstwa Teresy Bagińskiej-Żurawskiej.

28 września 2015 roku zostanie otwarte Muzeum Potockich w Antoninach na Ukrainie, a wystawa fotografii stanie się częścią muzealnej ekspozycji. Konsul Generalny w Winnicy zgodził się przyjąć patronat honorowy nad tym muzeum. Sfinansował też druk książki "Antoniny" w języku ukraińskim.

Redakcja



KONSUL GENERALNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W WINNICY

DAMIAN CIARCIŃSKI

PRZEWODNICZĄCA RADY W ANTONINACH

NATALIA ANATOLIEWNA KONDRATIUK

ORAZ

JAN ROMAN HR. POTOCKI

ZAPRASZAJĄ NA UROCZyste OTWARCIE

MUZEUM POTOCKICH W ANTONINACH

DNIA 28 WRZEŚNIA 2018 ROKU O GODZ. 12.00

W BUDYNKU DAWNEJ REMIZY POWOZOWEJ

W ANTONINACH

Teresa Bagińska-Żurawska

Na przełomie XIX/ XX w. rezydencje Potockich, Łańcucka i antonińska, przeżywały okres rozkwitu. Obaj bracia – Roman w Łańcucie i Józef Mikołaj w Antoninach – równolegle prowadzili podobne inwestycje modernizacyjne.

Położone na kresach wschodnich Rzeczypospolitej Antoniny w drugiej połowie XIX w. stały się własnością rodu Potockich. Odziedziczył je Józef Mikołaj, młodszy brat Romana Potockiego, trzeciego ordynata na Łańcucie. Wcześniej należały do ich matki, dla której były ulubionym miejscem. Maria z Sanguszków spędzała tu dzieciństwo w towarzystwie babki Klementyny z Czartoryskich.

W pełni samodzielne rządy w Antoninach Józef Mikołaj rozpoczął po zawarciu małżeństwa z Heleną Radziwiłłówną. Okres od lat 80. XIX w. do pierwszej wojny światowej był czasem rozkwitu i przeobrażeń. Wprowadzony wówczas nowy układ urbanistyczny pozostaje czytelny do dziś. Był on pomyślany na miarę europejską, z dominantą spinającą wszystkie elementy założenia. Stara rezydencja została poprzedzona osiowo założonym skwerem, na obrzeżu którego wybudowano szereg willi, malowniczych domów i dworków dla zatrudnionych w dobrach antonińskich urzędników i specjalistów. Przed rezydencją skwer kończył się obszernym placem przylegającym do ogrodzenia

pałacu. Monumentalne bramy z rzeźbionymi w kamieniu herbami Potockich, Radziwiłłów i Sanguszków prowadziły na dziedziniec. Zaprojektował je zamieszkały w Warszawie francuski architekt Franciszek Arveuf. Za bramą główną po prawej stał pałac, po lewej stajnie, za nimi wozownia, a w głębi maneż. Na obrzeżu poza ogrodzeniem wzniesiono budynki gospodarcze: garaż z warsztatami, elektrownię, budynek straży ogniowej. Na prawo za pałacem rozciągał się wzdłuż rzeki Ikopeti malowniczy park, a w nim oranżeria, szklarnie, pawilony. Rezydencja nabrała ostatecznego kształtu przed 1906 r. Po śmierci Arveufa, znany wiedeński architekt Ferdynand Fellner spiął skrzydła istniejącego pałacu neobarokowym pawilonem wejściowym, tworząc mocny, dominujący akcent architektoniczny. W podobnym stylu przeprojektował stojące naprzeciwko pałacu stajnie i głębiej położoną wozownię. W najbliższej Antoninom okolicy pobudowano psiarnie, gajówki, leśniczówki, a na folwarkach – budynki gospodarcze. Większość z nich już nie istnieje, przetrwały tylko niektóre, ale za to bardzo piękne.

Antoniny, jak wiele siedzib rodowych na kresach wschodnich, ucierpiały na skutek przewrotu bolszewickiego. Zofia Kossak-Szczucka, naoczny świadek tych wydarzeń, w latach 1917- 1919 prowadziła dziennik, który opracowała i wydała w 1922 r. Dokonany przez nią zapis "Pożogi" do dziś poraża ogromem nienawistnego, bezmyślnego niszczenia wszelkich przejawów cywilizacji i kultury. Mąż pisarki, Stefan Szczucki, przed

pierwszą wojną światową zarządzał innym majątkiem Potockich w pobliskiej Nowosielicy. Antoniny, siedziba Józefa Mikołaja Potockiego, były nie tylko miejscem częstych odwiedzin, ale także stawały się w najbardziej niebezpiecznych momentach miejscem schronienia dla młodego małżeństwa z dziećmi. Pisarka nie tylko zostawiła opis wielkości wspaniałej rezydencji i nowoczesnej osady oraz wzorowo zagospodarowanego i prowadzonego na europejskim poziomie majątku, ale odnotowała także zabiegi licznej rzeszy pracowników ordynacji, usiłujących obronić to niezwykle miejsce, jak samotną wyspę, otoczoną zewsząd nawałnicą bolszewizmu.

Tu spędzała Wielkanoc 1919 r., z rozdartym sercem osobiście obserwowała i opisała pogrom wspaniałego antonińskiego stada rozplodowego. A przecież miłość do koni przedstawicielka rodu Kossaków miała we krwi. Nie z własnych wprawdzie, ale z relacji naocznych świadków przekazała informacje o trwającym kilka dni pożarze pałacu antonińskiego w sierpniu 1919 r.

Dziś może wydawać się, że w Antoninach nie zostało już nic, ani rezydencji, ani stajni, ani koni, ani sfory myśliwskich psów, ani polowań. Na miejscu pałacu jest zarośnięte trawą rozległe boisko, po którym na co dzień chodzą gęsi i wypasają się cieleta.

Wbrew pozorom, pomimo licznych zniszczeń, Antoniny przetrwały. Były zbyt potężne, zbyt wspaniałe, by dać się zmieść bezmyślnej nienawiści. Odkrywamy je wraz z mężem okaleczone

i wciąż dumne w kolejnych naszych podróżach na Ukrainę. Odczytujemy pozostałości, mniej lub bardziej wyraźne ślady. Stojąca nad stawem malownicza willa, mieściła na parterze kasyno dla oficjalistów z salą bilardową, a na piętrze – mieszkanie koniuszego Kadish’a (Kadich’a), a później dyrektora stada – austriackiego rotmistrza Löffler’a. Dlatego nazywana była „Kadiszówką” lub Leflerówką”. Obok niej willa „Marszałkówka” zajmowana przez marszałka dworu, dalej piętrowa willa weterynarza i stajnie gościnne, nazywane także szpitalem dla koni, naprzeciwko willa zarządu cukrowni w Kremenczukach, a na końcu skweru hotel, w którym zatrzymywali się interesanci Józefa Potockiego. W obrębie ogrodzenia pałacu stoją do dziś budynki wozowni, oficyny i maneżu. Tuż obok okazały dom, w którym na parterze były garaże Potockich, a na górze mieszkania szoferów, dziś służy jako siedziba miejscowych władz i bank. Dalej elektrownia i budynki straży ogniowej. We wnętrzach niechlujstwo sowieckie, paradoksalnie w tym wypadku, pomogło zachować wiele detali i szczegółów nieremontowanych od wielu lat budynków, w których mieszkali i pracowali zatrudnieni przez Józefa Mikołaja Potockiego urzędnicy i specjaliści.

Pierwsza wersja artykułu była opublikowana w „Gazecie Łańcuckiej” w 2015 r. Obecna wersja jest zaktualizowana według najnowszej wiedzy o Antoninach.



MUZEUM POTOCKICH W ANTONINACH

pod honorowym patronatem Konsula Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Winnicy powstało dzięki nieodpłatnej pomocy następujących osób i instytucji:

autorzy ekspozycji: Teresa Bagińska-Żurawska i Wrzesław Żurawski

korekta tekstów: Natalia Horiszko

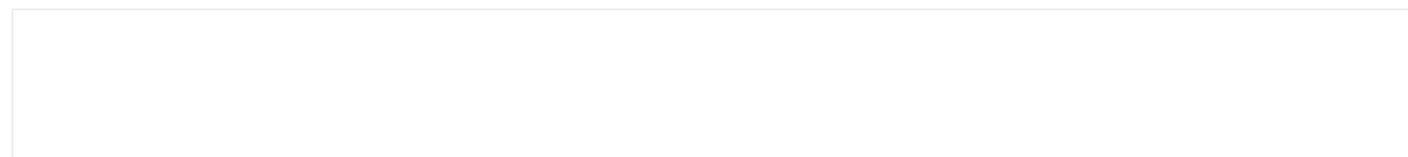
przygotowanie plansz do druku: Jan Żurawski.

Fotografie archiwalne nieodpłatnie udostępnili ze swoich zbiorów:

Marek hr. Potocki, Tomasz Kuba Kozłowski, Jan Kielar, Muzeum-Zamek w Łańcucie, Fundacja Zofii Kossak.

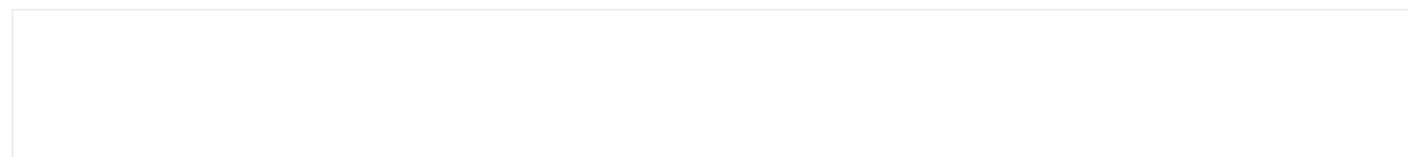
Fundusze na druk plansz wystawowych zorganizował Marek Tomaszewski wolontariusz Amerykańskiego Korpusu Pokoju.

Ponadto wsparcia finansowego udzielili: Elżbieta i Janusz Dobrzańscy, Antoni Dziugieł, Adam Krzysztoń, Barbara Pilawa-Kraus, Robert Kochman.



O wystawie „Antoniny po pożodze” w magazynie „Culture Avenue”:

<http://www.cultureave.com/159/>



Teresa Bagińska-Żurawska i Wrzesław Żurawski.

„Antoniny po pożodze” - fragment ekspozycji.

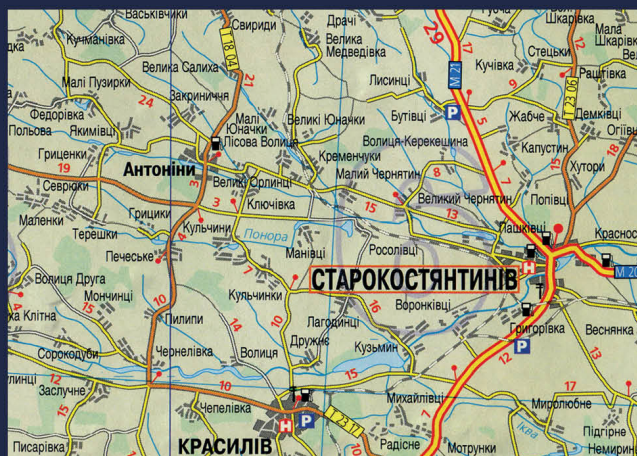
ANTONINY PO POŻODZE



autorzy wystawy:
Teresa i Wrzesław Żurawscy

przygotowanie do druku Jan Żurawski

MMXV



Rozłożone szeroko na barwnej równinie wołyńskiej, prowokujące błękitem tarczy herbowych, a głośnie swym bogactwem i swoją pięknością - Antoniny (...) były zupełnie odrębne, jedyne w swoim rodzaju, niepodobne do innych wielkich rezydencji, tak licznych na Kresach. Odrębność ta leżała w doskonałej kulturze każdego drobiazgu, starannym wycienianiu szczegółów, w sile życia twórczej i rozumnej, pracy nieustraszonej naprzód. (...)

Antoniny uderzały młodzieńczą pogodą, bujnością rzeczy ciągle jeszcze wzrastającej, patrzącej w przyszłość z wesołą beztroską. Nie była to ani osada, ani miasteczko, ani wieś, jeno duże zbiorowisko ludzkie, oaza sztucznie powstała z woli, energii i racji jednego człowieka, właściwie jednej rodziny. Obszerny pałac, stajnie, nie mające równych sobie w kraju, głośnie stado, oranżerie, rybołówstwo, bażantarnie, psiarnie, bazar, hotel, szpital, elektrownia, straż ogniowa, warsztaty automobilowe, zarząd dóbr, ochronka, gimnazjum czteroklasowe polskie itd. — wymagały nie tylko odpowiednich budynków, ale i olbrzymiego personelu, którego pomieszczenie wymagało z kolei mnóstwa mieszkań. Więc po obu stronach modrej tafli stawu ciągnęły się dwoma rzędami większe i mniejsze „dworki”, strojne, wymuskane, zaciszne, tonące w ogrodach i kwieciu. Osia całej tej osady, treścią jej istnienia był ogromny, w pogodnych liniach barokowych utrzymany pałac, ozłocony słoneczną przestrzenią dziedzińca, centralizujący wszystko dookoła.

Zofia Kossak-Szczucka „Pożoga”



pałac w Antoninach od frontu, pocztówka ok. 1910



Józef hr. Potocki



Helena z ks. Radziwiłłów hr. Potocka

W 1851 roku Maria z Sanguszków (córka ks. Romana i Natalii z Potockich z Wilanowa) poślubiła Alfreda II ordynata łańcuckiego wnosząc Antoniny do majątku Potockich. Ogromną fortunę odziedziczyli następnie dwaj synowie – Roman (1851 – 1915), który został III ordynatem na Łańcucie i Józef (1862-1922), który otrzymał między innymi Antoniny, musiał jednak zmienić obywatelstwo z austriackiego na rosyjskie, ponieważ Antoniny leżały w granicach zaboru rosyjskiego.

Roman po śmierci pierwszej żony poślubił Elżbietę z Radziwiłłów (z linii berlińskiej), zaś jej siostra Helena wyszła za mąż za Józefa. Oba małżeństwa dokonywały wielkich inwestycji w swych posiadłościach. Zarówno zamek w Łańcucie jak i pałac w Antoninach zostały w podobnym czasie około 1900 roku przebudowane i zmodernizowane.

Józef był znakomitym gospodarzem. Zatrudnił modnego architekta François Arveuf, a po jego śmierci w 1902 roku spółkę architektów Fellner i Helmer (działających także w Łańcucie). Pałac antoniński otrzymał nową szatę w stylu neo-barokowym, podobnie zostały przebudowane towarzyszące mu stajnie i wozownie, powstały bogate bramy z herbami Potockich, Sanguszków i Radziwiłłów na zwieńczeniach filarów. Zbudowany został zespół budynków w charakterze willi stanowiący malowniczą osadę w pobliżu pałacu.

Pałac dziś nie istnieje. Spłonął w sierpniu 1919 roku i następnie został doszczętnie rozebrany. Nie ma także śladu po budynku stajni. Pozostałe obiekty bardzo zaniedbane stoją do dziś i pomagają wyobrazić sobie wyjątkowy fenomen jakim były Antoniny przed pożogą.



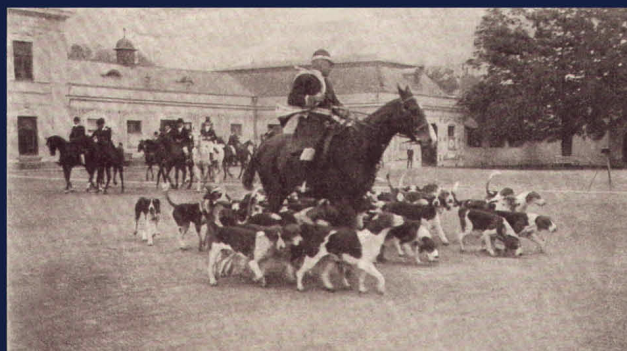
polowanie w Dębowym Gaju, Wieś Ilustrowana listopad 1911



psy przed wejściem do palacu, pocztówka ok. 1910



psiarnia w Dębowym Gaju, pocztówka ok. 1910



psy na tle stajni, Wieś Ilustrowana listopad 1911

*P*siarnia antonińska do polowań par-force może śmiało wytrzymać porównanie z najlepszymi sforami angielskimi i francuskimi. Hrabia Potocki sprowadził do niej przy założeniu ogary francuskie do polowań w kniei, następnie zaś angielskie foxhoundy. Dwie te odmiany, łączone z sobą (...) wytworzyły typ samoistny, lokalny gończych antonińskich. Polowania par-force rozpoczęte i zorganizowane na ogromnym terytorium dóbr antonińskich przez Józefa hr. Potockiego w roku 1884 mają ustaloną sławę w sferach myśliwskich. (...) W kraju są rzadkością, bo nie tylko potrzeba dużych własnych terenów o zwierzostanie zupełnie określonym i pewnym, ale całego ogromnego ekwipażu łowieckiego, złożonego z psiarni, koni, powozów myśliwskich oraz specjalnej służby (...)

Wieś Ilustrowana listopad 1911



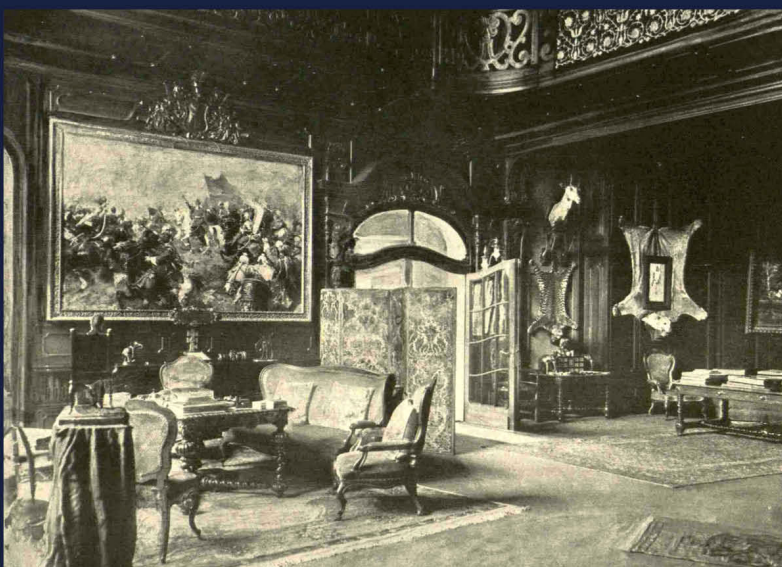
Antoniny - jadalnia



przejście z hallu do biblioteki



popiersia króla Stanisława Augusta
i prymasa Poniatowskiego



hall pałacowy - obraz Brandta „Hetman St. Rewera Potocki pod Beresteczkiem”



witryna ze starą porcelaną korecką
i saską w salonie
Wieś Ilustrowana listopad 1911



Antoniny - ogród zimowy przy pałacu, pocztówka

Wszystko to przestało
istnieć po pożarze pałacu
antonińskiego w sierpniu
1919 roku



Antoniny - widok na stajnie od strony pałacu, po lewej brama główna i „szwajcarka” (kordegarda)



wyjazd na polowanie z pod stajni, Wieś Ilustrowana 1911



siodlarnia - portret konny Heleny hr. Potockiej W. Kossaka

Jedną z najciekawszych rzeczy w Antoninach jest, jak wiadomo, słynne stado koni. (...) Podstawą jego była najczystsza jaką mieliśmy w hodowli europejskiej, rasa wschodnia, troskliwie w ciągu lat z ogromnym nakładem kosztów sprowadzana i dobierana przez dawniejszego właściciela i założyciela tego stada ks. Romana Sanguszkę ze Sławuty. (...) Całe stado po ks. Romanie przeszło na wnuka (Józefa hr. Potockiego). (...)

Stajnie urządzone są odpowiednio do potrzeb higieny i zdrowia, ale bez niepotrzebnych zbytków lub ostentacji. Światła, powietrza przede wszystkim jest bardzo dużo. (...)

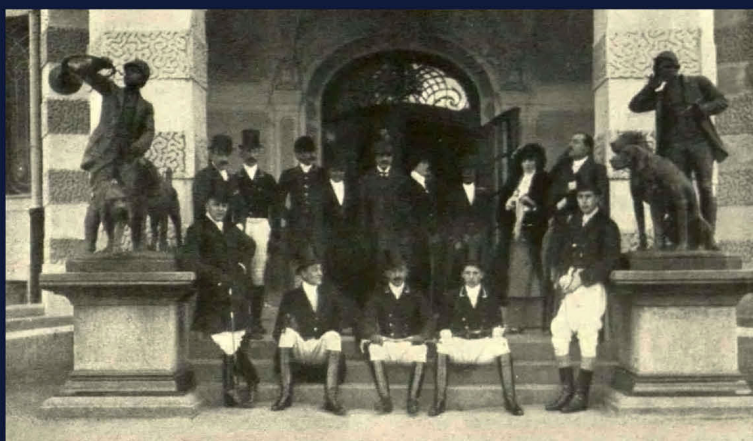
Wieś Ilustrowana listopad 1911

wyjazd na polowanie z przed pałacu, Wieś Ilustrowana





Antoniny - brama główna pałacu od strony skweru, Wieś Ilustrowana listopad 1911



towarzystwo w strojach do konnej jazdy przed wejściem do pałacu, po bokach spiżowe rzeźby myśliwych z psami, Wieś Ilustrowana 1911



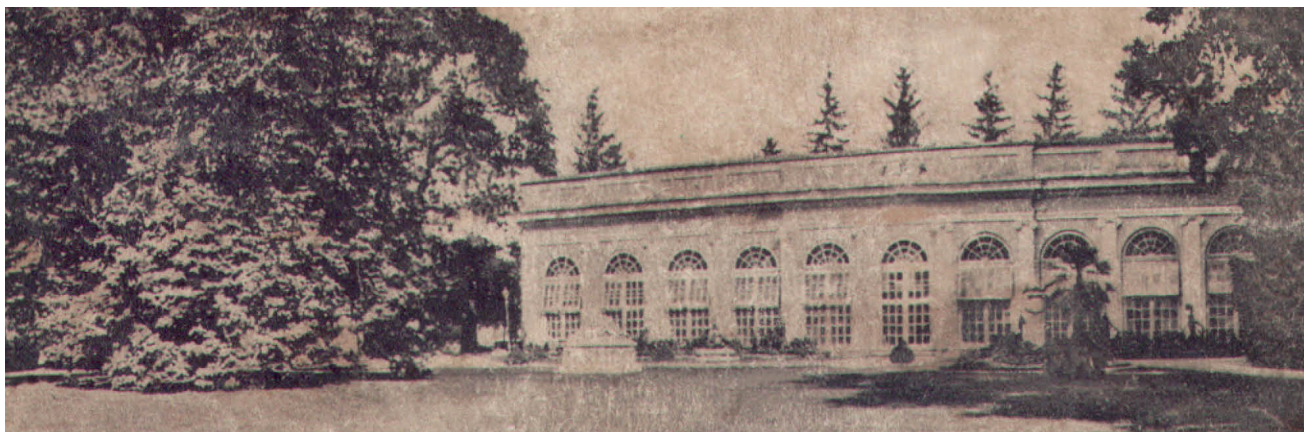
główne wejście do pałacu
Wieś Ilustrowana 1911

Kiedy pierwszego dnia mego pobytu rozglądałem się z pałacowej wieżyczki, na której powiewała błękitno-żółta chorągiew Potockich (...) przyszło mi na myśl określenie tak często przed wiekiem używane: „teżyzna”. Czy wpłynął na to rozmarzający urok letniego wieczoru? Czy srebrny księżyc, co wychynawszy się od Starokonstantynowa dolinę, w której Antoniny zaległy, zalał strugą migotliwego światła? Czy parskanie rumaków w stajniach pałacowych?

Wieś Ilustrowana listopad 1911

po lewej fragment elewacji pałacowej, brama główna, „szwajcarka” oraz stajnie z wieżą po prawej, za nimi dachy wozowni





Antoniny - oranżeria, przed nią na cokole pomnik lwa z młodym na pamiątkę wyprawy do Sudanu, pocztówka ok. 1910



pomnik lwa, Wieś Ilustrowana listopad 1911



pomnik lwa w parku po 100 latach, fot. W. Żurawski 2011



cieplarnia w parku antonińskim, pocztówka

widok pałacu od wschodu, pocztówka





Antoniny - budynki wozowni, pocztówka ok. 1910 r.



Antoniny - budynki wozowni obecnie, fot. W. Żurawski 2007 r.



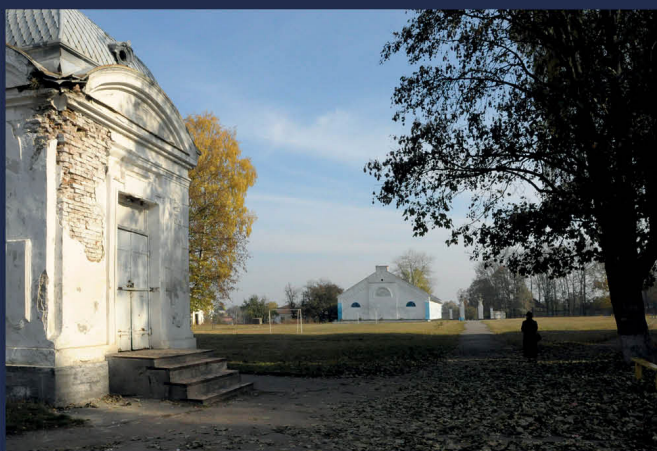
lukarna nad wozownią, fot. W. Żurawski 2011 r.

dziedziniec przed wozownią, po prawej miejsce po pałacu na tle parku, w środku widoczna ujeżdżalnia, brak stajni





brama główna - po lewej „szwajcarka”, na wprost brama tylna, po prawej brakuje pałacu, fot. W. Żurawski 2000 r.

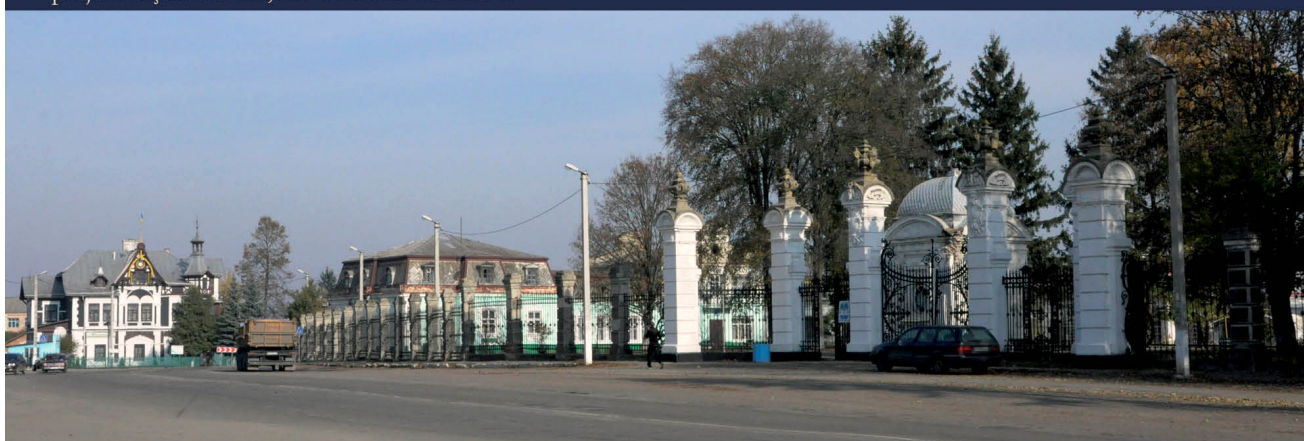


po lewej „szwajcarka”, w głębi ujeżdżalnia, fot. W. Żurawski 2011 r.



fragment bramy, fot. W. Żurawski 2011 r.

Antoniny - ogrodzenie, wozownia oraz garaże (po lewej)
proj. François Arveuf, fot. W. Żurawski 2011 r.





Antoniów - brama tylna, fot. W. Żurawski 2011 r.



willa „Marszałkówka”, w której mieszkał marszałek dworu, pocztówka ok. 1910 r.



willa „Marszałkówka” stan obecny, fot. W. Żurawski 2011 r.





Antoniny - hotel dla gości ordynacji na końcu skweru, fot. W. Żurawski 2000 r.





Antoniny - willa w której mieszkali państwo Szczuccy - teściowie Zofii Kossak-Szczuckiej, autorki „Pożog”. Parter zajmowało kasyno urzędnicze, pocztówka ok. 1910 r.



widok od frontu, fot. W. Żurawski 2007 r.



wejsie główne z datą rzymskimi cyframi „1900”
fot. W. Żurawski 2007 r.

widok willi zza jeziora antonińskiego
fot. W. Żurawski 2011 r.





Antoniny - strop i faseta boazerii w kasynie urzędniczym, fot. W. Żurawski 2011 r.

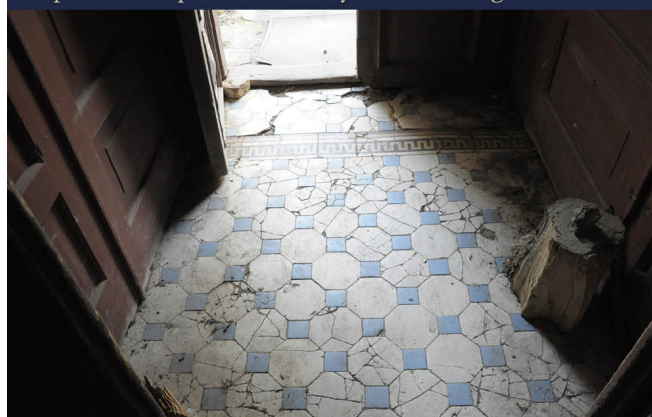


boazeria w kasynie urzędniczym



detale ciesielskie loggi

posadzka w przedsionku kasyna urzędniczego



balustrada drewniana, fot. W. Żurawski 2011 r.





filar bramy z herbem Potockich Pilawa, fot. W. Żurawski 2011 r.



Antoniny - garaże i warsztaty samochodowe, pocztówka ok. 1910 r.



Antoniny - garaże i warsztaty samochodowe, fot. W. Żurawski 1997 r.



budynek straży pożarnej
fot. W. Żurawski 2011 r.

O dległe położenie Antonin od stacji kolejowych skraca obecnie 5 samochodów (o sile 40-75 koni), służących do użytku właściciela dóbr, lecz i one stają się bezsilne w zbyt błotnistych okresach. Dopiero świeżo uzyskana przez hr. Józefa Potockiego koncesja na budowę kolei Szepetówka-Płoskirów-Kamieniec Podolski, da majątkom kilka stacji, z których najważniejsza, leżąc na terytorium cukrowni Kremeńczuckiej, odległą będzie od Antonin tylko o 5 wiorst. Nowa ta linia przechodząc przez liczne włości hr. J. Potockiego, zmieni zasadniczo dotychczasowe warunki komunikacyjne.

Wieś Ilustrowana listopad 1911





szpital dla koni i willa weterynarza, fot. W. Żurawski 2011 r.

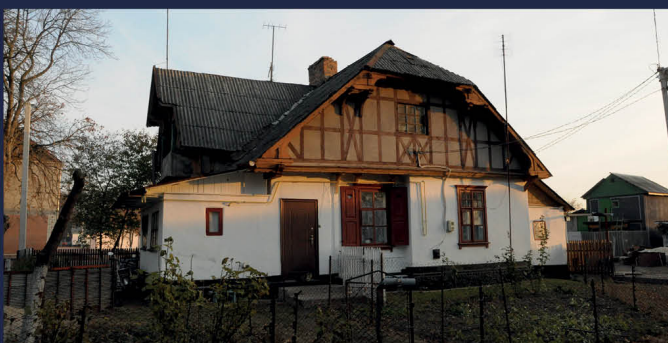


Antoniny - willa zarządu cukrowni, fot. W. Żurawski 2011 r.





Antoniny, fot. W. Żurawski 2011 r.



Antoniny, fot. W. Żurawski 2011 r.



Antoniny, fot. W. Żurawski 2011 r.



Antoniny, fot. W. Żurawski 2000 r.

Bardzo wiele rodzin polskiej inteligencji i półinteligencji żyło w jasnych dworach, (...) a że tych pracowników był legion, a wszystko to byli Polacy, przeto zagłada ich stanowiłaby poważny wyłom w ogólnej polskości kresowej (...) Antoniny w tym wypadku nie były wyjątkiem. Każde z wielkich latyfundiów kresowych (...) stawało się automatycznie ogniskiem polskości. (...) Ogromne ordynacje i dobra były najskuteczniejszą formą przechowania mocnej polskości na Kresach i w tym kierunku zasługa ich jest nieoceniona.

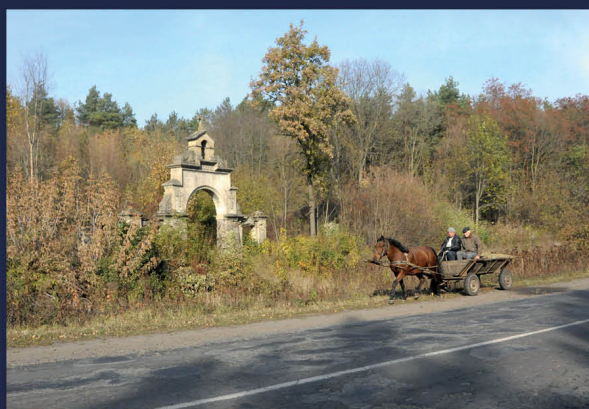
Zofia Kossak – Szczucka „Pożoga”



Antoniny, fot. W. Żurawski 2000 r.



Antoniny - szpital położony na południe od pałacu, fot. W. Żurawski 2011 r.



Antoniny - cmentarz pod Dębowym Gajem, po obu stronach bramy daty: 1914 i 1917, fot. W. Żurawski 2011 r.



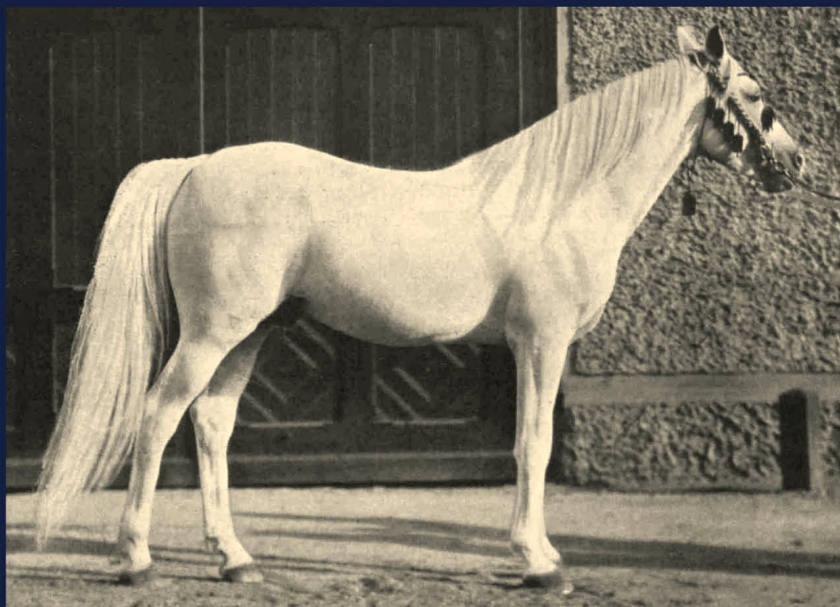
Antoniny - folwark Józin za Dębowym Gajem, połączone budynki stodoły i spichlerza, fot. W. Żurawski 2014 r.



Antoniny - folwark Józin, rasa krowy, która przetrwała od czasów hodowli Potockich, fot. W. Żurawski 2014 r.



Antoniny - folwark Józin, obora, fot. W. Żurawski 2011 r.



ogier Fedżir, Wieś Ilustrowana listopad 1911

Stały dotąd te cud-konie w ciszy chłodnej stajni niby uosobienie dostojnego Piękna, co dumnie przetrwało dotychczasowe przezwroty i kleski. Niektóre z nich pamiętały jeszcze płowy i gorący piasek dalekiego kraju. (...) Stały tam źrebce z pustyni urodziwe jak zjawiony wid o koniu z baśni, palcami Mahometa po pięćkroć znaczone. (...) Stały tam konie o ścięgnach ze stali, syny wichru i przestrzeni, śmiglejsze od ptaka, polotniejsze od sarny ściganej. I potężnie zwarte, bramowo-piersiaste, spokojne, zrównoważone, żelazno wytrwałe, w skoku niezawodne, a zapory nie znające myśliwskie konie wierzchowe.

Zabrano je wszystkie. (...) Z ufnością i dobrotliwie pozwoliły wciągnąć na szlachetne głony twarde, cuchnącą dziegiem uździenicę. Rzuciły się w bok, strwożone po raz pierwszy od lat wielu, gdy „towariszcz”, wskoczywszy na siodło, szarpnął ciężką łapą za ostre wędzidło. Świsnęła nabajka. (...)

Zabrano matki od źrebiąt maleńkich, bezradnych. (...) Kilka starszych pobiegło za matkami w ślad. (...) Na przestrzeni kilkunastu wiorst padły ze zmęczenia. (...) Młodsze żołnierze zabijali na dziedzińcu, by w drodze nie były zawadą. (...)

Biały ogier, łagodny i słodki jak dziecko, przeczuł jarzmo i pogardził nim. Stanął koń wolny i ze swojej ziemi na pobańbienie iść nie chciał. Szablami go porąbali rozwścieczeni oporem żołdacy. (...)

W dwie doby padło w ten lub inny sposób koło pięćdziesięciu koni. (...) Pogrom stada był wstępem do rozgromienia siodlarni, wozowni, pałacu (...)

Książki wywrotowe
czy zbójeckie? Marian
Pankowski
(1919-2011).



Marian Pankowski podczas uroczystości wręczania nagrody literackiej w kategorii proza, Gdynia 2008 r., fot. wikipedia.

Florian Śmieja

W latach pięćdziesiątych dowiedziałem się z lektury „Kultury” o Pankowskim. Drukował w niej wiersze i recenzje. Na jej łamach w obronie jednego z moich wczesnych wierszy skrzyżował szpadę z Józefem Łobodowskim. Potem czytałem i publikowałem jego prozę w miesięczniku „Kontynenty”, a następnie widywałem jego teksty w kwartalniku Czesława Bednarczyka „Oficyna Poetów i Malarzy”.

Ponieważ mieszkał w Belgii, bywał w Londynie tylko przelotnie. Zapraszał do Brukseli. Spotkanie na jego terenie doszło do

skutku dopiero w 1974 roku, kiedy jechaliśmy całą rodziną do Polski i akurat w Belgii starsza córka poczuła w boku ostre kłucie i trzeba było szukać szpitala i zatrzymać się na operację w mieście Louvain. Tam stanęliśmy na campingu, a zostawiwszy córkę w szpitalu z trojgiem pozostałych dzieci pojechaliśmy do Brukseli.

Wydawszy kilka zbiorów liryków, Pankowski, zrezygnował z pisania wierszy publikując nagrodzoną przez „Kulturę” uroczą prozę poetycką „Smagła swoboda”. Doceniła tę prozę Maria Danilewiczowa zwąc ją „odosobnioną, nieporównywalną pozycją”, a także, że to „szczupły rozmiarami, ale imponująco dojrzały tom prozy poetyckiej”.

Prywatnie natomiast wyszła powieść „Matuga idzie” objawiająca jego poważne zainteresowanie, jeśli nie obsesję, erotyką. Danilewiczowa konkludując, że „historycy wrócą kiedyś do Pankowskiego”, przywitała książkę odważnie:

Ciekawy jest także „Matuga” i to nie ze względu na pornograficzną aurę, ale jako śmiały eksperyment językowy, krok dalej od Gombrowicza, choć w wyznaczonym przez niego kierunku. Na Emigracji docenił go jeden bodaj Bielatowicz...

Wydawnictwa odrzucały tę książkę, a także garść kontrowersyjnych opowiadań. Pisarzowi patronowali wówczas krnąbrny Michel de Ghelderode i Georges Bataille. Sztukę tego pierwszego Pankowski przełożył na język polski i drukował. To on wprowadził polskiego pisarza w świat diabelski, groteskowy, perwersyjny, świat Breugelowski. Obaj autorzy, wyznał Pankowski, przekazali mu

w formie artystycznej bezwzględną i całkowitą wiedzę o współczesnym człowieku „zdolnym do wszystkiego”.

Wtedy napisał dziesięć sztuk eksperymentalnych i cztery w języku francuskim. Wybrał własną drogę. Tadeusz Nowakowski zauważył jego „luzakowanie”, niezgodę na chodzenie w jakiegokolwiek obroży: nie chciał „współpłasać w grobowcu...”. Nie bez powodu zajął się twórczością Leśmiana, człowieka, który jego słowami

wybijał się ze zbiorowości, szukał dla siebie wyjątkowego miejsca, rościł sobie wyjątkowe prawa.

To aluzja do tematu dysertacji doktorskiej Pankowskiego.

Kiedy zaczął drukować w londyńskiej „Oficynie Poetów i Malarzy”, stał się, jak napisał, „uczestnikiem wielkiej przygody”. Wdzięczność swoją wyraził w pięknym hołdzie zamieszczonym w katalogu z okazji wystaw w Polsce w 1990 roku.

Niezależnej Oficynie Poetów i Malarzy zawdzięczam druk moich książek wywrotowych, gdyż nie przylegających do tradycyjnego kanonu tekstów odrzuconych uprzednio przez wydawnictwa emigracyjne i krajowe. Oficyna Poetów była wtenczas jedynym domem wydawniczym wolnym od cenzury. Szczycę się tym, że moje prace poświęcone polskiej literaturze współczesnej, że moja proza i teatr są i pozostaną integralną częścią dorobku Polaków na obczyźnie, skupionych wokół niezależnego słowa Oficyny.

Willa Pankowskiego, położona w spokojnym zaułku Brukseli, była urocza, gospodarz delikatny i pełen uwagi, dystyngowany, bardziej miękki niż wyglądał na fotografii. Osiągnął swoje gody po trudnej młodości, ponieważ, po zawodach i nieszczęściach doczekał się jakiegoś zadowalającego układu ze światem i życiem. Wnętrze domu uznałem za architektonicznie kapitalne, gustownie urządzone, krzesła i fotele były skórzane, meble teakowe, a ściany zdobiły oryginalne obrazy. Żona była w Paryżu, zastaliśmy tylko córkę.

Teatr Pankowskiego zaczął w końcu docierać do widza. Wystawiono jego sztukę w podmiejskim teatrze paryskim, a potem przywieziono ją na kilka dni do Brukseli. W Genewie teatr miejski dał 12 przedstawień innej jego sztuki, „Król Ludwik”.

Poezji dał spokój, bo już mu nie wystarczała forma zapisu lirycznego, była zbyt ograniczona, nie potrafiła wyrazić kwestii człowieka, które dojrzały autor dostrzegał i pragnął ubrać w literacki kształt.

Głosił, że pisarz musi sobie wywalczyć czas do pisania. W Brukseli środowe popołudnia poświęcał na włóczenie się po kawiarniach. Czuł potrzebę samotności. Bo jak inaczej mógł być zarówno pisarzem, profesorem, naukowcem, mężem i ojcem rodziny?

Zapamiętałem w jego domu manekin kobiety, a na gzymsie jednego z pokoi, bodaj salonu, figurkę drwala z piłą. Zachowywał się jak rzeźba kinetyczna, a kiwając się symulował piłowanie kantu. Praktyczni Flamandczycy puszczali go ponoć w ruch, kiedy gość nudził... Miałem się na baczności.

Pankowski marzył o docieraniu do polskiego czytelnika w kraju.

Każdy pisarz polski żyjący na obczyźnie marzy o wejściu na rynek krajowy. Brama to jednak ciasna i przejście prowadzi przez biuro ministerstwa spraw zagranicznych, a opłata za to szczęście – wygórowana. Są to jednak problemy, które pisarz emigracyjny musi rozpatrywać w świetle własnych, jemu tylko znanych okoliczności.

W 1975 roku pojechał na „Warszawską Jesień Poezji”. Bardzo zadowolony doniósł wtedy:

Spotkania autorskie były dla mnie wielkim odkryciem! To, o czym myślałem z ironią i obawą, okazało się cenną konfrontacją z żywymi czytelnikami.

Od tego czasu datuje się stała jego współpraca z redakcjami, wydawnictwami i teatrami w Polsce. Powstały nowe książki i sztuki. Ich autora dwukrotnie nominowano do nagrody „Nike”. Teatry zaczęły wystawiać jego sztuki. Pamiętam, jak we Wrocławiu trafiłem na jego „Chrabąszcze”. W 1998 roku otrzymał Honorowe Obywatelstwo rodzinnego miasta Sanoka.

Dokonania Pankowskiego pokazują niewtórna osobowość, głos oryginalny, wybitny sens języka. On sam w rozmowie wyznał, że

chce

Pisać tak, żeby język mych tekstów był rozpoznawalny, żeby nie zółkł razem z kalendarzem, ale został jak żywica.

Po krótkiej więc inkursji we francuszczyznę znalazł swoje forte w drażeniu języka polskiego.

Teksty jego przyjmowano różnie. Tomasz Wolańczyk zauważył, że wywołują one „Niechęć albo podziw, ale najczęściej zamieszanie i trochę strachu...”.

Wydawca jego pism Czesław Bednarczyk, rozpoznał w nim zjawisko w literaturze polskiej wyjątkowe. Napisał otwarcie i jasno:

Pankowski zajął się głównie marginesem społecznym, który zawsze był, jest i będzie. Blaski, jasność, bohaterstwo, poświęcenie, nawet miłość odsuwa na bok lub świadomie przemilcza. Pokazuje nam brutalną, nagą prawdę. Pożyteczna to, moim zdaniem i wielce ciekawa twórczość i kto wie, czy nie lepiej może wpływać na wychowanie niż tzw. dobro fałszowane? Dla szerokich mas jednak nie jest to sztuka budująca, zrozumiała, krzepiąca. Dla ogółu jest

literaturą złą. Świat potrzebuje „narkomanii dobra” mimo, że siedzi po uszy w zgniliźnie. Książki jego nie zabłądzą pod strzechy.

Pankowski bronił swoich wizji jako świadek innej rzeczywistości:

...z ludzkich ciemności idą na nas wciąż nowe postacie z liściem piołunu na ustach za cały los.

Konstanty A. Jeleński widział w negliżowaniu pisarza przez krytykę emigracyjną i krajową „Zatajony podziemny polski erotyzm, który nie chciał wywlekania wszystkiego na światło dzienne”. Sam autor „Matugi” napomknął w liście do mnie, że nie chce „narzucać się z tekstem, którego czytanie wymaga pewnego dystansu wobec mieszczańskości w nas i poza nami”. Gdzie indziej wyjaśniał, że będąc wśród Flamandczyków przejął ich plebejską szczerość wobec cielesności.

W londyńskim miesięczniku „Kontynenty” przeprowadziliśmy ongiś panelową dyskusję zatytułowaną „Rozmowa o pornografii, erotyzmie i prozie Pankowskiego”. Zbigniew Grabowski o książce „Matuga idzie” wyraził się nie bez pewnej chyba zazdrości, że „Jest to książka jurna, zawieszista i książeczka poety” konkludując, że „Matuga nie dochodzi... atakuje tabu, ale nie

bulwersuje czytelnika, wyczerpuje się w żakowskich trochę figlach i popisach”. Lecz jeżeli Pankowski przegrywa u niego do Witkacego i Joyce’a, to nie ma się czego wstydzić.

„W sztuce jestem za swobodą” – deklarował w jednym ze swych wywiadów. Chce by go broniły teksty same, lecz wyznaje, że istotnie wybiera sobie osobliwych protagonistów swojej prozy i dramatu. Jest nim zazwyczaj człowiek żyjący „na marginesie”, odtrącony, np. starzejący się emigrant, albo ktoś wykolejony, żyjący za granicą pod innym nazwiskiem. Człowiek wyobcowany, „goszysta”, zagubiony we własnych sprzecznościach, skłonny do odruchów anarchicznych. A to wszystko, bowiem, jak zaręczał Marian Pankowski, Professeur Honoraire de l’Université Libre de Bruxelles

...wyrażając agresywność i aspołeczność takich ludzi, takich postaw, chcę się przekonać, że jestem po stronie równowagi i ładu.

Pankowski zawsze miał ambicje, by udowodnić sobie i innym, że ubogi chłopiec z Sanoka może się dorobić czegoś w świecie. Cudem przeżywszy obozy koncentracyjne, zostawszy profesorem na zagranicznym uniwersytecie, zaspokoił głód uznania. Międzynarodowe sympozjum roztrząsało jego bogaty dorobek. W Polsce zdobywa sobie zwolenników konsekwentnym

odkrywaniem obszarów w literaturze polskiej pomijanych, przemilczanych, spychanych na margines. Uczulony na krzywdę i momenty poniżenia, nie zapomina o losie innych, wszak sam siebie również za takiego uważał. Atakowany, bronił się posiadaniem wątpliwości, które go trapiły, dodając przekornie, że gdyby ich nie było, ziemia byłaby nadal płaska. Myślenie inaczej wyzwala, choć wciąż płaci się za nie wysoką cenę. W Warszawie jakiś czas temu otwarto muzeum erotyki. Coraz więcej książek Pankowskiego ukazywało się w Polsce, autor jeździł i udzielał wywiadów, w google'u mnożyły się reklamy. Ale jeżeli pisarz miał swobodę, by szokować, ośmieszać i kpić z bogoojczyźnianych ekscesów i religianctwa niskiego lotu, to czytelnik pozostał nadal raczej oszołomiony i nieufny. Nie przystaje pochwycić na zmienianie oblicza polskiej kultury. Także ceni sobie swoje wątpliwości i może nie podzielać jego smaku i preferencji.

Marian Pankowski na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/marian-pankowski-1919-2011/>